№ 1. Warszawa, dnia 1 Stycznia (20 Grudnia) 1887 r. Rok VII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ:

POLITYKA.

ROK MINIONY.

Rok ubiegły był w Europie raczej porą siejby, niż żniw: mniej on wydał dojrzałych plonów, niż rzucił ziarn, które kiełkować już zaczęły i niewątpliwie wzrosną. Co one światu dadzą— zgadywać nie trzeba. Wszystka morfina, mająca uśmierzyć bóle czasu, wszystkie kłamstwa, mające uśpić rozbudzoną świadomość, wszystkie błyskotki, mające olśnić wzrok zaostrzony — nie uspakajają i nie łudzą nikogo. Gdziekolwiek się zwrócimy, kogokolwiek posłuchamy — zewsząd płynie szept lub krzyk trwogi i groźnej wróżby. Ze stanowisk najwyższych i najniższych, prywatnych i urzędowych, ciszej i głośniej odzywa się ton niewiary w pogodę przyszłości najbliższej. Nad czem kiwają głowami prostacy, co przepowiadają ludzie rozumni, co obrabiają ustawicznie dziennikarze, to samo brzmi w odezwach urzędowych. Nawet najbardziej milczący sfinks niemiecki, gen. Moltke, nie wahał się wyznać publicznie, że obecny stan wysilonego i niszczącego uzbrojenia musi wkrótce doprowadzić do olbrzymiego starcia, którego ani kierunku, ani rozmiarów, ani skutków dziś nikt obrachować nie zdoła.

Prawie też każde państwo europejskie zamknęło swój bilans roczny niedoborem i obawą. Niemcy, uważające siebie za kolumnę i kopułę pokoju, dostrzegły potrzebę podparcia swej budowy 40,000 nowych bagnetów; Francya, pomijając rozstrój wewnętrzny, poszywa swą kurtę rep blikańską coraz grubszemi blachami wojennemi; Anglia z wag kupieckich topi kule a łokieć na miecz wyostrzyć pragnie; Austrya opiłowywa i pasuje swą różnorodną mieszaninę w składny szyk bojowy; koleje żelazne i okręty rozwożą po świecie zapasy karabinów i armat — słowem rok ubiegły przekazał następnemu wielkie zbrojownie, wielkie armie i wielkie spory.

Spory te w świeżo zakończonej dobie miały wiele rozgałęzień i powikłań, ale punktem, na którym skrzyżowały się ostro rozliczne i potężne siły, była kwestya wschodnia. Europa rozwiązuje ją przez cały niemal wiek obecny, ale rozwiązuje kawałkami, jako: turecką, serbską, hercegowińską, czarnogórską itd. Teraz przyszła kolej na supełek bułgarski, w którym zbiegały się przez cały rok 1886 główne nici działań politycznych. Przejrzawszy akta tego roku, ciągle widzimy na pierwszym planie ten supełek w rękach wielu. Gdyby nie dowody, gdyby epoka nasza nie utrwalała śladów swego życia, pokolenia następne nie uwierzyłyby, że Europa mogła tak długo zajmować się i wyczerpywać sprawą bułgarską. A przecież tak jest i tak będzie do chwili, której z teraźniejszego stanowiska dojrzeć niepodobna. W każdym razie rok 1887 będzie tylko okresem dojrzewania nasion poprzedniego. Zaledwie potrzebujemy czytelnikom naszym tłomaczyć, że ten długi proces, chociaż się owija o tron bułgarski, ma znaczenie szersze, obejmuje cały półwysep Bałkański a nawet prawie całe dziedzictwo tureckie. Te rozmiary nadają mu ważność, utrudniają i przewlekają rozstrzygnięcie. Ale gdy już w nim rozplątano tyle węzełków, gdy usamowolniono Czarnogórze, Serbię, Rumunię i Bułgaryę, teraz już właściwie, pod postacią zatargu o moralną zależność ostatniej, toczy się walka nie Dawida z Goliatem, ale Goliatów o południo-wschód Europy. Jest to walka olbrzymów, dotąd cicha i pogróżkowa, ale będzie straszną, gdy tytany zaczną rzucać na siebie lądami i morzami. Nic też dziwnego, że wszyscy, silni i słabi, drżą na myśl o tym boju. Lękliwość ta była znamienną cechą roku minionego i wystąpi jako znamię dziedziczne następnego.

Drugim doniosłym faktem politycznym tej doby było pogodzenie się i sprzymierzenie dwu potęg dotychczas poważnionych: Stolicy apostolskiej z rządem pruskim. Długoletni zatarg tych dwu sił, pozornie zamknięty w granicach szczuplejszych, oddziaływał na całą Europę o tyle, że każda z nich posiadała szeroką sferę wpływu na bieg spraw ogólnych. Leon XIII, któremu było za ciasno na stanowisku religijnem i który chciał je rozszerzyć w kierunku politycznym, przyjął chętnie rękę Bismarka i na ofiarę tego sojuszu poświęcił dobro swych może najwierniejszych owiec. Obie strony ustępstwami wzmocniły się wzajemnie: papież odzyskał część władzy świeckiej, kanclerz zjednał sobie dokuczliwego przewodnika i tem śmielej mógł przygnieść żywioły mu oporne a Rzymowi podległe.

Zgoda ta wpłynęła niewątpliwie na przedsięwzięcie środków tępiących opartą na katolicyzmie resztę żywiołu polskiego w Niemczech — przedsięwzięcie, stanowiące trzeci wypadek ważniejszy w historyi roku ubiegłego. Kanclerzowi niemieckiemu potrzebną była ta dyspensa papieska na prześladowanie pierwiastku nienawistnego i opornego, który, w sojuszu ze swymi współwyznawcami w państwie, pod opieką Stolicy apostolskiej, zachowywał swą odrębność i urągał zjednoczeniu Niemiec. Dopóki istnieje Poznańskie, Szląsk, Prusy polskie, dopóki w tych prowincyach żyje ludność, oparta na jakiejś mocy zewnętrznej, stanowi obcy klin w pniu z innych powodów niezbyt spojonym. Temperament, charakter, osobiste wstręty i upodobania ks. Bismarka nadały tej robocie rozmach i ostrość, ale zasada jej tkwiła w zimnej rachubie politycznej a data zależała od zawarcia przyjaźni z po-

tęgą, która skazanych na zagładę osłaniała swem skrzydłem.

Jakkolwiek przywiązanie wiekowe polaków do papieża nie mogło pęknąć pod jednym ciosem, ten wszakże sojusz Leona XIII z ks. Bismarkiem bardzo ochładzająco podziałał na ich uczucia, w ostatnich czasach rozpłomienione. Jeszcze przed laty kilku papizm był we wszystkich dzielnicach polskich drugą religią, kultem politycznym; teraz zachowuje swe dawne natężenie tylko w sferach ultramontanizmu arystokratycznego. Ponieważ warstwy niższe faktów nie znają lub nad nimi nie myślą, przeto rozczarowanie ogarnęło głównie średnie pokłady społeczeństwa. Leon XIII nie jest dla nich takiem bożyszczem, jak Pius IX. Skutkiem tego chociaż we wszystkich innych kierunkach cofnęliśmy się ku ideałom tradycyi, w papizmie pochyliśmy się znacznie ku liberalizmowi.

Taki jest niezupełny rachunek polityczny zdarzeń ważniejszych roku ubiegłego. Rok ten—powtarzamy—nie był porą dojrzałych skutków, ale raczej porą rozwijania się przyczyn i zawiązków przyszłości, przedewszystkiem zaś zbierania się chmur brzemiennych burzą.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Nad innymi wypadkami dni ostatnich góruje ustąpienie lorda Churchilla z gabinetu Salisburego. Dotychczas domysły jedynie nasuwa prasa dla wyjaśnienia tego niespodziewanego kroku. Tłomaczą go jedni sprawami politycznemi, drudzy — domowemi. Według pierwszych Churchill nie zgadzał się na energię, rozwijaną przez Anglię w sprawach wschodnich. Wieść to wszakże mniej prawdopodobna wobec dawniejszych gwałtownych jego wystąpień w sprawie afgańskiej. Nie pragnął on nigdy widzieć Anglii w roli bezczynnego widza jedynie. Więcej podstaw zdają się mieć tłomaczenia, wskazujące walkę wewnętrzną, a mianowicie różnice poglądów na kwestyę irlandzką. Churchill i tu był zwolennikiem bardzo sprężystego postępowania i w tym kierunku szedł dalej znacznie od swoich kolegów. Obecnie sprawa irlandzka zaostrzyła się, gabinet musi pomyśleć o jakiemś wystąpieniu stanowczem, któreby dało początek szeregowi postanowień, regulujących dalszy stosunek pomiędzy dwiema sąsiedniemi wyspami. Cały program powinien być nacechowany jedną, przewodnią myślą, i tu właśnie sposobności nie brakło do nieporozumień. Czy jedno, czy drugie wyjaśnienie bardziej zbliża się do prawdy, w każdym razie wypadek to dla gabinetu Salisburego niepomyślny i osłabiający go w chwili bardzo drażliwej. Anglia właśnie ostrzej występować zaczęła zarówno w Konstantynopolu przez swego posła, p. White, jak za pośrednictwem półurzędowego *Morning Posta*; nie dość na tem: słusznie czy nie — posądzona jest o wichrzenia w Bułgaryi na korzyść księcia Battenberskiego. Obecnie na wszystkich tych polach musi nastąpić sfolgowanie do czasu uzupełnienia gabinetu. Lord Hartington, teraźniejszy poseł w Rzymie, otrzymał zaproszenie do objęcia teki po Churchillu.

Deputacya bułgarska miała w Kolonii bardzo serdeczne spotkanie z ks. Battenberskim i jego rodziną, przewiozła go pociągiem kolei żelaznej do Frankfurtu n. Menem i wróciła, wybierając się do Londynu.

Znany komunikat *Gońca urzędowego* już wywarł wrażenie na postawę półurzędowej prasy austryackiej, która ocenia położenie obecne w tonie daleko bardziej pokojowym, niż poprzednio.

Z półwyspu Bałkańskiego donoszą, że drobne państewka tameczne zajęte są układami o traktaty wzajemne. W armii bułgarskiej rozkaz ministeryalny zaprowadził komendę swojską, zamiast dotychczasowej rosyjskiej. W rozstrzygnięciu procesu szkoły junkierskiej dwaj kapitanowie: Tipowiczarow i Makedoński zostali skazani każdy na 3 miesiące domowego aresztu, a dwaj junkrzy — na dwuletnie więzienie. Dwóch innych pociągnięto do odpowiedzialności z powodu fałszywego świadczenia.

Oto jest skąpy materyał faktyczny z dni świątecznych. Do niego dodać należy sensacyjne, przednoworoczne telegramy, prochem przesiąknięte, ukazujące się w różnych dziennikach. Podług tych telegramów lord Salisbury gotów jest doprowadzić rzeczy do ostateczności; bułgarzy pragną wszystko postawić na kartę; Berlin zamierza wydać wojnę Francyi, złamać ją politycznie itd. itd. *Ruskij Kurjer* niemniej poczynił niepokojące odkrycia o zaborczych knowaniach Szwecyi w Finlandyi. Ale to zapewne tylko bigos świąteczny...

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KÓŁKA ROLNICZE W GALICYI.

Lwów, 21 grudnia.

Wspomniałem wam poprzednio o stanowisku, jakie zajmuje tutejsza hierarchia społeczna wobec ruskich i polskich czytelni ludowych. Nieporozumienia w tym względzie tak daleco skrywano dotychczas przed publicznością, że parę lat temu szermierz większego samorządu kółek, włościanin, w ostatniej chwili cofnął swój wniosek, a zgodził się na dalszy ucisk, ażeby nie wywołać zgorszenia. Obecnie jednak klerykalno-ludowy *Wieniec* odważył się wystąpić w tej sprawie z powodu stanowiska, jakie zajęli krakowscy stańczycy wobec uroczystości Batorego. Otóż pismo to stwierdza, że panowie ci „byli i są wrogami wieców i zgromadzeń ludowych, starali się zabić kółka rolnicze — i nie dać im powstać; oni przeszkadzali zawsze i wszędzie każdej pielgrzymce i każdemu zebraniu włościan,“ uciekając się do rządu, strasząc władze i rzucając fałszywe podejrzenia, ażeby zyskać poparcie dla swych celów szlacheckich. „Gdy to się nie uda, wtedy namawiają innych do przeszkadzania, a zawsze skrycie i podstępnie. Tak raz

---

1)

NOWA SZLACHTA.

FRAGMENT DRAMATYCZNY *).

Przedpokój w zamku królewskim w Krakowie. Wgłębi wielkie drzwi do pokojów króla, przed drzwiami dwóch hajduków i Podkomorzy. Andrzej Zborowski przechadza się niespokojnie na przodzie sceny. Po chwili drzwi się otwierają wchodzi Wojewoda w gniewie.

Wojewoda.

A czemużeśmy raczej Amurata
Na tron nie wnieśli, niż tego węgrzyna!
Gromy siarczyste, toć on w niewolników
Zmienić nas gotów (do Zborowskiego)
Przysłuchaj się wasze,
Jak z swym kanclerzem rozdaje fortuny
Ludziom bez czci, podłej kondycyi.
Co mnie spotkało i was czeka wkrótce:
Sięga po głowy, sięga nam po mieszki.
Starostwo buskie, co go z dziada dzierżę,
Dał Bieleckiemu. Bieleckiemu — szui,
Bisurmanowi — sturczonemu chłopu,
Co lat dziesiątki był w służbie pogańskiej.
Hańba! sromota!

Podkomorzy.

Miarkujcie się panie.

Zborowski.

Zgryść nam to wszystko!

Wojewoda.

Oh, nie, wyplwać raczej.
Do czego przyjdzie? Wielkie rody giną!
Na senatorskich stołkach siedzą chamy
Pastuchy, świnie. Bielecki starostą?
Człek, co się zaparł wiary i ojczyzny,
Dziś mu się w służby pokorne oddaje
I bierze jurgielt kosztem fortun pańskich.

Zborowski.

Szalenie jedzie ten król, oh, szalenie
Po głowach naszych.

Wojewoda.

Niedługać to jazda,
Zawrotu dostać, potem skręcić szyję
Łacno mu będzie.

Podkomorzy.

Panie Wojewodo!

Wojewoda.

Wasze drzwi pilnuj i nie wścibiaj nosa
Pomiędzy panów... a chcesz mi być sługą,
To je rozewrzej na oścież... wypowiem
W oczy to wszystko.

Podkomorzy.

Ja służę królowi.

(Wchodzi Marszałek dworu).

Marszałek.

Panie Zborowski, król jegomość sprawę
Brata Krzysztofa chce sądzić przed sejmem.

Zborowski.

Tak chciwy głowy jego... lecz wiedz wasze,
I król jegomość niech wie, że zębami,
Choć one wilcze, nie zgryzie Zborowskich.

Marszałek.

Tego król wiedzieć nie będzie i radzę
Waszmości panu łagodzić, nie jątrzyć.

Zborowski.

Łagodzić, mówisz... toż nie miałbym kropli
Żółci w mem ciele. Wszak miesiąc już cały,
Jak wyczekuję pod pańskiemi drzwiami,
Aby wyprosić choć krztę łagodności;
Kłaniam się, korzę przed lada pachołkiem,
Choć szabla w pochwie drży mi z oburzenia;
A waść mi plaster przykładasz gryzący,
Że sąd przed sejmem spełni się na brata.
Ojciec Zborowski przewraca się w trumnie
Na poniżenie takie.

Marszałek.

Grzechy, grzechy!

Wojewoda.

Nie nam tu żądać sprawiedliwych sądów!
Kto ma ocz dwoje, ten widzi, gdzie bieży
Pańska łaskawość.

Marszałek.

Tam, gdzie jest zasługa
I prawość zacna.

Wojewoda (mierząc go wzrokiem).

Gdzie pochlebstwo podłe
W poziomej piersi— boć czemże byliście,
Nim ten wywłoka pochwycił za berło?

---

*) Ustęp z dramatu *Jan Bielecki.*

na wiecu pod pozorem zarazy, namówili, aby włościanom przybyłym nie dać ani garści słomy, innym razem namawiali gwardyana OO. Franciszkanów, aby nie przyjął pielgrzymów do klasztoru, innym znowu razem starali się skłonić śp. Jks. arcybiskupa, aby urządzić wiecu nie pozwolił itp."

Dla zrozumienia losu polskich czytelni ludowych przy „Kółkach rolniczych" w Galicyi, musimy zauważyć, że cały ich zarząd spoczywa w ręku przedstawicieli społecznej hierarchii, którzy też decydują o najważniejszych sprawach towarzystwa, podczas gdy włościanie — członkowie kółek, nie posiadają głosu rozstrzygającego. Tak np. wpływ ich pośredni na wybór zarządów powiatowych, można było — według obliczenia p. Franka — wyrazić początkowo ułamkiem $^1/_{32}$, wpływ na wybór zarządu centralnego $^1/_{101}$ — obecnie zaś pierwszy uszczuplono do $^1/_{436}$, drugi —do $^1/_{799}$! Trudno temu uwierzyć w państwie, gdzie wszystkie towarzystwa rządzą się konstytucyjnie — a jednak to prawda. To też podwójnie cennem jest dla rusinów — których czytelnie urządzone są wręcz przeciwnie w tym względzie — owo wystąpienie *Wieńca*. *Czas*, na którego rzeszę przedewszystkiem wymierzony jest ten pocisk, gotów rzucić oskarżenie także na polskie czytelnie ludowe, jak rzuca na ruskie i właśnie to dałoby najlepszy powód do wystąpienia w kółkach przeciw całej tej klice, której bynajmniej nie chodzi o dźwignięcie ludu, nawet swego własnego. Niestoty, *Wieniec*, uderzywszy na szlachtę, nie uderzył równocześnie na dotychczasową jej w tym względzie sojuszniczę, hierarchię kościelną, jezuitów itp., którzy topią nieszczęsny lud polski w powodzi swych klerykalnych, anti-społecznych i śmiało rzec możemy — anti-ludzkich broszurek i pism, jakiem po części jest także *Wieniec*. Wobec znanej uległości ludu polskiego dla tego kierunku, wątpimy prawie, czy włościanie — członkowie kółek rolniczych, zdobędą się kiedy na taki protest. Zdaniem naszem, nastąpić to może wtedy jedynie, gdy wydawnictwa ludu i zarząd czytelni obejmą w swe ręce ludzie świeckiego wykształcenia, prawdziwi jego przyjaciele. Za przykład mogą w tym względzie posłużyć choćby czytelnie ruskie. Mają one sporo niedostatków, głównie — brak organizacyi, ale członkowie ich rządzą się samodzielnie i nawet księża nie ważą się wywierać na nich nacisku. Używają one pod tym względem swobody.

Rozumie się, że najstosowniej byłoby, żeby inicyatywę w sprawie reorganizacyi polskich kółek i zbliżenia ich do ducha czytelni ruskich dali posłowie do sejmu. Ale gdzie ich znaleźć?

Hucuł.

BADANIA NAUKOWE.

KARTKA Z DZIEJÓW LUDZKOŚCI.

I.

Geneza czarów.

Ze stanowiska socyologa - psychologa wiek XIV należy do najciekawszych i zarazem najbardziej ponurych chwil dziejowych Europy zachodniej. Straszna, czarna dżuma sroży się po przez wszystkie kraje i w przeciągu 6 lat swego trwania porywa przeszło 25 milionów ofiar, a więc z okładem czwartą część ówczesnej ludności. Niektóre okolice zostały ogołocone niemal do szczętu ze swego zaludnienia, w wielu miastach zmarła więcej niż połowa mieszkańców. Co pozostało przy życiu, w strachu i w pokucie korzyło się w świątyniach i niosło duchowieństwu swe mienie. Ówczesny postrach graniczył z obłąkaniem, ludzie zapominali o jutrze doczesnem i wszystkie wysiłki skierowywali ku przebłaganiu niebios. Niedobory w zbiorach rolnych, głody i nowe zarazy były niechybnem następstwem tego. Oczekiwano końca świata. I na tem to podścielisku, utkanem z trwogi powszechnej, pogrążenia w praktyki ascetyczne, niezaspakajania wszelkich potrzeb fizyologicznych, niepewności czy jutro świat ten nie rozpryśnie się w gruzy, zmartwychpowstają te dziwne ruchy masowe XII i XIII w., ale w kształtach bez porównania potężniejszych. Atmosfera drżenia powszechnego wytłoczyła i na nich swe znamię ponure. Jak w malarstwie zamiast „dobrego pasterza" i jego dobrodziejstw wydźwigają się stacye męki jego, tak samo poruszenia z wojen krzyżowych przybierają obecnie podrygi cudacko-posępne. Zapomniana od wieków sekta biczowników zostaje wskrzeszoną, ale powiększona w dziesięćkroć i o konturach rozpaczliwszych, a hymny jej złowrogie dźwięczą we wszystkich zaułkach. We Flandryi i Niemczech zbierają się tysiączne ciżby, śmieją się, łkają i gestykulują w opętaniu, dokoła siebie oglądają strumienie krwi i ogniki piekielne, pląsają ku czci Antychrysta i rozbrzmiewają jego chwałę i potęgę. Epidemia histeryczna porywa klasztory żeńskie Francyi i Niemiec, bies opętał mniszki, które i skarżą i cieszą się z tego, w konwulsyjnych a lubieżnych miotaniach bredzą o zakazanych rozkoszach. Tłuszcze motłochu miejskiego rzucają się na żydów, jako sprawców zarazy: w jednej Moguncyi kilka tysięcy wyrzutków tych ze swej ziemi pada pod ciosami. Rozpatrzeniem charakteru takich ruchów masowych oraz psychologią ich mamy zamiar zająć się w przyszłych numerach *Prawdy*; na teraz pomówimy o jednem ogniwie z tego zespolenia obłędu i ciemnoty, o prześladowaniu wiedźm, które zwiekiem XIV również zaczynają pojawiać się epidemicznie. Albowiem, chociaż posępne dzieje tego prześladowania datują się już od w. XII, ale dopiero po strasznym pogromie, zrządzonym przez śmierćczarną, przywdziewają ów charakter masowy, jakim odznaczają się w przeciągu dwu następnych stuleci. Jeden zaledwie biskup bydgoski skazał na śmierć aż 600 ofiar; w przeciągu jednego tylko roku stracono 800 ludzi w dyecezyi würzburskiej; w Tuluzie 400 nieszczęsnych zgładzono za jednem „świętem przedstawieniem;" Genewa wysłała na stos lub szubienicę 500 wiedźm w 3 miesiące; w Paryżu kary „ciągną się bez końca!" Ludzie, którzy w imię Chrystusa przestali nauczać miłości, zamieniają się w upiorów krwi łaknących, i jeśli obecne postępy psychologii patologicznej każą w ofiarach widzieć histeryczki, natomiast w sędziach ukazują szał erotyczno - krwiożerczy, podniecony ascetyzmem i fanatyzmem.

Marszałek.

Bóg wszechwiedzący wybrał tego męża,
Aby ukrócił złości i swawolę,
A kto praw, zacny, głowę dlań położy;
A komu w duszy podła pycha wichrzy,
Temu nie radzę jawić się tak blisko.
(Odchodzi).

Wojewoda.

Podłe jestestwo! Zajrzymy wam w oczy
Żarem błyskawic. I czegoż tu żądać,
Co tuszyć można, gdy tacy panują?
Waść się nie słaniaj więcej w tych komna- [tach.
Toż wstyd, to hańba senatorskiej cześci,
Byśmy wystawać mieli pode drzwiami,
Gdzie nasi ojce buzdyganem twardym
Walili po łbach to sprosne lokajstwo.
Przyjdzie czas sejmu—weźmyż się za ręce,
Jedna nas dola wiąże—wspólna, prawa.
Zatrzęsiem Polską tak, że spadnie kita
Z tej dumnej głowy aż pod nasze stopy.

Zborowski.

A jam w dzwon wielki bił na tego węgra,
Cała fortuna Zborowskich na szalę
Rzucona marną. Batorego wybrać!
Batory królem!— wrzeszczeliśmy w niebo.
I ten Samucha, dziś gnijący w ziemi,
Dyabłów i piekło poruszał i dopiął,
Dopiął niestety... upadku Zborowskich.

Wojewoda.

Ludzkie go ręce stawiły i ludzkie
Obalić mogą. Cicho... cierpliwości.
(Z lewej wchodzą szlachta: Kazimierski, Pękosławski, Wężyk).

Wojewoda.

Z czemże asz mościc?

Wężyk.

Z chudemi kalety.

Kazimierski.

Toćby po wojnie baserunek zdał się.

Pękosławski.

Chcemy też wiedzieć, czy król rozdał [wszystko
Ciurom i chamom — czy się co zostało
Dla szlachty.

Wojewoda (z gestem).

Tyle!

Kazimierski.

Toby dla jednego
Nie wystarczyło... a tam suplikantów
Tłumy się roją.

Wojewoda.

A skądże waszmoście?
Imci pan Wężyk, Kazimierski, Imci
Pan Pękosławski — gdzieżeście bywali,
Snać z Ameryki wrócili?

Kazimierski.

Broń Boże.

Wężyk.

Doma siedzielim... a tu już przed nami
Inni wybrali piskorze.

Wojewoda.

Wracajcież
I siedźcie cicho przy ciepłym kominie,
A gdy was wieści dobiegą, że król bat
Odarł mnie z mienia — Zborowskich wy- [gubił
Sieniawskich zniszczył, wytracił Tęczyń- [skich,
Zmówcie koronkę i na łeb pierzyną
Zatkajcie uszy (przechadza się w poruszeniu).

Kazimierski.

To tak idą sprawy?

Zborowski.

Przy wielkich domach, zelantach wolności
Miejsce dla aściów; bo pomnijcie bracia
Gdy nas niestanie — to Polski niestanie.

Pękosławski.

Nowi tu ludzie wyłażą jak grzyby.

Zborowski.

Jacy to ludzie! Wielochy, Wąsowie,
Rudzik, pachołek mój niegdy, zasiada
Przy pańskiej radzie nadwornej. Bielecki,
Co strawił lata w służbie bisurmana,
Co już zapomniał języka i wiary,
Posiadł starostwo pana Wojewody.

Wojewoda.

Na sejm, waszmoście! Tam wasza otucha,
Dopóki głosu w piersiach, w uściech swady!
Niech krzywdy nasze, jak palące rany,
Ukażą światu, kędy król pan jedzie.
Niech bracia pomni, że gdy sięga hardo
Po głowy możnych, gdy zjadł Samuela,
To zje Krzysztofa, to połknie Andrzeja
A Kazimierski, Pękosławski, Wężyk
Niby na wety po smacznym objedzie.

Ale nim skreślimy epidemiczne cechy wiedźmostwa, jego najbliższe przyczyny i najwidoczniejsze pobudki zaniknięcia, musimy pomówić uprzednio o samych wiedźmach, ich genezie, zakresie działalności i skuteczności, wreszcie o samopoglądzie na własne postępowanie.

Zazwyczaj rozpatrują postać wiedźmy w ciasnych szrankach społeczeństw europejskich; tymczasem jest to postać ogólnoludzka, nieodłączna od widnokręgów umysłowych człowieka pierwotnego. Pamiętajmy, że człowiek taki — to istota najzupełniej obojętna na wszystko, co w przyrodzie odbywa się prawidłowo i bez targania normalnego biegu życia ludzkiego. Plemiona brazylijskie, jedne z niżej stojących grup ludzkości, nie pytają ani o to, czemu słońce świeci, ani też o początek świata — są to pytania obojętne. Inaczej rzeczy stoją we względzie zjawisk takich, jak grzmot lub grad; są to fakty, zmuszające swą szkodliwością lub nieprawidłowością do rozmyślania. Wogóle, człowiek pierwotny tylko o tyle zwraca uwagę na zjawiska, ile go wyprowadzają z prawidłowego toku życia i jedynie wtedy szuka ich wytłomaczenia; a wobec swego niskiego stanu umysłowego przyczynę tych „nienormalności“ pojmuje antropomorficznie, tj. uosabia w postacie na wzór siebie, w tak zwanych „duchy“ *), różne dla każdego oddzielnego wypadku i bez najmniejszego związku pomiędzy sobą. W ten sposób powstaje świat duchów *złośliwych*, niechętnych, co jest rzeczą naturalną wobec tego, że człowiek pierwotny zwraca uwagę jedynie na wpływy niekorzystne dla siebie. Wierzenia wszystkich ludów dzikich noszą taki nawskróś demoniczny charakter. Plemię bongosów (wschodni Sudan) powiada: „Wiemy, że duchy wyrządzają nam przykrości, lecz nigdyśmy jeszcze nie słyszeli, ażeby znajdował się chociaż jeden duch dobrotliwy, któremubyśmy zawdzięczać mieli istnienie.“ O papuasach z N. Gwinei mówią, że wierzą jedynie w złych duchów; nagasy (stoki Himalajów) wierzą w całe legiony „deotasów“; wszystko, co niezwykłe, jest sprawą tych duchów, które zresztą nie mają innego celu, krom znęcania się nad ludźmi. Wiara w złośliwych duchów i obawa przed nimi — oto zasadnicze cechy religij pierwotnych. Nawet jeśli już na wyższym szczeblu rozwoju zabłąka się gdzieniegdzie pojęcie o duchu opiekuńczym, jest ono raczej dźwiękiem pustym. Konibosy (Andy Ameryki) wierzą np, w dobroczynnego stwórcę nieba i ziemi, lecz uważają za zbyteczne składanie mu czci, bo i „bez tego jest dobry“; przypominają mu o swem istnieniu jedynie podczas trzęsienia ziemi; natomiast zły duch wciąż stoi im przed oczami, czy to w codziennem życiu, czy w kulcie. Obawa taka bezustannie trzyma w swem objęciu umysły dzikie. Australijczycy podczas ciemności nocnych tulą się do siebie i za nic w świecie nie ruszą się od ogniska; papuas w nocy nie wyjdzie do lasu, bo drży na samą myśl zetknięcia się z duchami. Sam zakres takiej złośliwej działalności duchów rozszerza się z powiększeniem w plemieniu sfery stosunków życiowych. Na najniższych znanych nam szczeblach rozwoju czynności złych duchów obejmują tylko życie jednostki, która przypisuje im nietylko choroby swe, lecz i samą śmierć z przyczyn naturalnych *). Na wyższych, kiedy już wszczęło się rolnictwo, tym samym istotom przypisują, krom poprzednich psot, jeszcze powstrzymywanie deszczów, niedojność krów, niepłodność kobiet.

Wobec takiego wyjaśnienia nieszczęśliwych wypadków w swem życiu i niekorzystnych wpływów ze strony przyrody, człowiek stara się o ich zażegnanie, a osypując duchy wszystkiemi właściwościami natury ludzkiej, dokonywa tego przez szereg aktów, ukształtowanych według czynności pożycia codziennego — przez rzucanie postrachu na ducha, składanie mu haraczu ze swych pokarmów, zaspakajanie jego rzekomych potrzeb. Papuasi sądzą, że dusze bez miejsca spoczynku krążą dokoła wsi, jako duchy złe; z drzewa więc robią podobizny chat i wieszają w lesie w mniemaniu, że duchy te, mając własny dach, nie zechcą ich niepokoić. Od takiego pojmowania natury duchów krok tylko już jeden do wyrobienia sądu, że, naodwrót, można oddziaływać na duchy w celu zmuszenia ich do szkodzenia wskazanym osobom. Zresztą taki wniosek stanowi nawet logiczną niezbędność dla umysłu pierwotnego. Jakoż, badając zachowanie się człowieka, musimy przyznać, że spełnia skrupulatnie te praktyki, jakie mu dyktuje obawa przed duchami. Kenajowie (północno-zachodni kąt Stanów Zjednoczonych) wierzą w duchy górskie. „Przed udaniem się na polowanie czynią im ofiary, w górach zaś każdy ruch, każde niemal słowo myśliwca oblicza się na to, ażeby nie ściągnąć niełaski duchów i układa się według zasad oddawna istniejących; kenajowie stają się tu nad wyraz milczącymi i nie śpiewają żadnych piosnek prócz górskiej; duchy też nie lubią porozumiewania się w ich posiadłościach zapomocą potocznej mowy i dla tego dla wielu przedmiotów umyślono nazwy odmienne od używanych codziennie.“ Obraz to zgoła nie przesadzony, w życiu dziki unika według sił ściągnięcia gniewu duchów. Więc jeśli mimo to następuje choroba, czyż nie jest rzeczą najnaturalniejszą tłomaczyć objawy jej tem, iż zły duch, w niczem nieobrażony przez dotkniętego, działa tu pod wpływem kogoś niekorzystnie usposobionego? Wyraża się stąd pojęcie *czarów*, tj. sposobów wywarcia takiego wpływu, i *zaklinaczy*, którzy za ich pośrednictwem działają na ducha. Kiedy u australijczyków zachoruje lub umrze ktoś, zwłaszcza w sile wieku, przypisuje się to czarom ze strony wrogów; nawet u tak inteligentnego już w porównaniu z poprzednim ludu, jak m-pongwesy (zachodnia Afryka) nikt nie umiera śmiercią naturalną, ażeby kogoś z jego nieprzyjaciół nie podejrzywano o czary. Wskutek zgonu młodego syna Fredegondy, mnóstwo kobiet skazano na śmierć z tej zasady, jakoby młodzieniaszek ów zmarł jedynie dzięki ich czarom. Logika podobna uwidoczniła się podczas wspomnianej dżumy czarnej. Kiedy wybuchła zaraza, przypisano jej najście gniewowi boga za

---

*) Geneza tych duchów znajduje się w związku z powstaniem pojęcia o „duszy.“

*) Pojęcie o „normalnem“ jest różne u nas i u ras dzikich. Dla nich śmiercią naturalną jest śmierć w boju (przynajmniej u niektórych szczepów), nienormalną — naturalny skon z powodu choroby, zwłaszcza jeśli dotyka młodzieńca.

Wężyk.

Wilcze ma zęby, co prawda, lecz przecie
U naszej braci kły też ostre. skóra
Twarda, jak krzemień.

Kazimierski.

Rozumek też lisi.

Pękosławski.

Wziął wam starostwo, panie wojewodo?
I któreż... które... boć to ich liczycie...

Kazimierski.

Dał Bieleckiemu.

Wężyk.

Wszak ci to poganin!
Dzieckiem był wzięty w jassyr, uwolniony,
Gdy się już sturczył — a teraz powraca.

Pękosławski.

Spotkałem imci Bieleckiego Jana,
Człek z niego piękny, choć poganin pono;
Jako minister do spraw bisurmańskich
Przy królu siedzi?

Kazimierski.

Niechże siedzi zdrowo,
Ale nie zjada szlacheckiego chleba.

Wężyk.

Węgrzynów takoż ciżba przy tym królu;
Papryka śmierdzi, że aż w nosie wierci.

Kazimierski.

Kraj nam ogłodzą.

Pękosławski.

To nowe zaciągi.
Znów pono wojna.

Kazimierski.

Hola, dosyć wojny.

Wężyk.

Bo prawda!.. Dosyć... nie pozwalam.

Kazimierski.

I ja!
Będziemy huczeć, będziem zrywać sejmy.
Nie w wojnach siła nasza, lecz w ustawach.

Pękosławski.

Wiemyć, gdzie mierzy tą wojną król Stefan:
Do absolutum, aby nas wziąść w karby.

Kazimierski.

Wojną nam oczu nie zamydlić — darmo.
A no, sejm blisko, jak rzekł pan Zborowski,
Choć dziś człekowi strach język przy-
[gważdża,
Bo za plecami drab cię jakiś słucha,
Ale mi w izbie swady nie zabraknie.

Wężyk.

Za krzywdę waszą, panie Wojewodo,
Utoczym żółci.

Kazimierski.

Powiat cały za mną.

Wężyk.

Toć krzywda wasza, naszą krzywdą.

Wojewoda.

Dzięki
Wam bracia mili, byłem pewien zawsze
Waszych afektów. Toż to chleb nasz
[wspólny,
Gdy nam go wydrą, jakby wam wydarli,
Boć nikt w ucisku brata nie odstąpi,
A mój chleb z wami dzieliłem i dzielę.

Kazimierski.

Oh, Wojewodo miłościwy, tożby
Serca z kamienia trzeba, by za wami
W ogień nie poszło.

Wężyk.

Tyś dobrodziej szlachty.
Mój miły Boże, jak takich nie stanie
Do kogoż chudy pachołek wyciągnie
O pomoc rękę!

Kazimierski.

Wyście nam królami.

(Marszałek wchodzi).

Marszałek.

Mości panowie, król was słuchać pragnie.

Kazimierski.

Sludzy pokorni.

(Wychodzą z Marszałkiem głębią; wchodzi chłop Wieloch).

Wojewoda.

Już inni powrócą.

Zborowski.

Nie znasz to ich waść, cokolwiek im rzuci,
Zawsze to mało— daj więcej a kupisz.

(D. c. n.).

W. Rapacki.

przekroczenia ludzkie; lecz gdy mimo modłów, ofiar i postów nie ustawała, przypasowano inne tłomaczenie: „bóg został przebłagany, więc nie ma się za co mścić, sprawców zaś trzeba szukać gdzieindziej.“ I zaiste znaleziono ich w żydach i wiedźmach... W ciągu dalszym wszystkie niepowodzenia: burze, susze, szarańcze, nawet zwalenie się chaty (papuas) są następstwem czarów. Oczywiście, z powyższem twierdzeniem o możności sprowadzania czarów przez człowieka na człowieka konsekwentnie łączy się drugie: możliwości ich odżegnywania. Bo skoro można zmusić ducha do wyrządzenia zła, czemuż niepodobna byłoby zniewolić go do odejścia?

W ten sposób, na tle pierwotnego stanu umysłowego ludzkości wywiązuje się wiara w możność dowolnego sprowadzania nieszczęść i ich odżegnywania. Zdolnym po temu był każdy, komu wiadome są środki zmuszania duchów — przynajmniej w zasadzie. W rzeczywistości jednakże plemię tolerowało to postępowanie jedynie u niektórych jednostek, wówczas gdy praktykowanie tego przez inne doznawało prześladowania, jak to zobaczymy w następującym artykule. Nasze czarownice średniowieczne były przedstawicielkami tego, napotykanego wszędzie poglądu. A jeśli otrzymały takie jaskrawe oświetlenie, zawdzięczają to po pierwsze temu, że zrodziły się i działały na gruncie europejskim, jedynie uwzględnianym w dziejach, a powtóre, że, jako swego rodzaju kapłaństwo, przeciwstawione zostały duchowieństwu chrześciańskiemu. Bo chrystyanizm wtargnął w dzieje Europy jako żywioł obcy, jako potęga, którą chętnie zapożyczali królikowie hord celtycko-germańskich ku zduszeniu staroczesnej demokracyi gminno-rodowej; pogląd pogański pozostał jednakże śród ludu i wiedźmostwo średniowieczne uważać możemy za odrostek kultów dawnych. Gmin po dawnemu tłomaczył klęski i po dawnemu im zapobiegał, tembardziej, że i katolicyzm, przesiąkłszy praktykami magów Wschodu, przyjmował możność takiego wyjaśniania i postępowania. Ojcowie kościoła wciąż głosili, że choroby, to wpływy dyabła; Tomasz z Akwinu przekonywa wiernych, że i burze są dziełem piekła; jeden mędrzec z XVI wieku wylicza aż 7,405,926 demonów, tułających się po ziemi w celu szkodzenia ludziom. Jednakże postępowanie kościoła względem czarów było pierwiastkowo łagodniejsze i dopiero w XII w. zaczyna rozogniać się w krwawą łunę stosów, wskutek wyrastających odszczepieństw i herezyj. Przypisywano je sprawie dyabła i obruszano się całą mocą na biedaków, podejrzywanych o potępione stosunki. Zresztą to odbłyski najpierwotniejszych mroków umysłowych ludzkości pozostały po dzień dzisiejszy i to śród najucywilizowańszych krajów. W 1850 w Tarbe (połud. Francya) sądzono dwoje małżonków za zabójstwo kobiety, podejrzywanej o rzucenie uroku na jedno z nich. Zaprowadzili ją do pokoju, tam związaną rozciągnęli na zapalonej słomie i w usta wetknęli rozżarzone żelazo (rzekomą wiedźmę wskazał miejscowy pleban). W hrabstwie Essex w r. 1863 publicznie zabito kijami starca podejrzywanego o czary. Mimo więc wiekowej pracy nad unicestwieniem mar bezmyślnych odległej przeszłości, te drgają wciąż w ohydny sposób, stanowiąc zresztą konieczne uzupełnienie dla wody z Lourdes.

Przystępujemy teraz do scharakteryzowania stanu subjektywnego czarownic, a w ciągu dalszym do skreślenia epidemij odnośnych wieków XII—XVII.

Lud. Krzyw.

BOJAŹŃ
jej objawy, prawa i przyczyny.

„Jak ząb jej dzwoni o ząb z przerażenia!“

Imaginacya. Słuchaj! ja mówię—oczyma.
Strach. Słuchaj! mówię—biciem serca.

Poeta.

W rozmyślaniu widzenia nocnego, gdy przypada twardy sen na ludzie, zjął mię strach i lękanie, które wszystkie kości moje przestraszyło. A duch szedł przed twarzą moją, tak iż włosy wstały na ciele mojem. Stanął, a nie znałem twarzy jego, kształt tylko jakiś był przed oczyma memi.

Księga Joba.

Literatura obdarzyła nas wymownymi obrazami bojaźni. Romanse Anny Radcliffe, „Powieści fantastyczne“ Hoffmana, „Nowelle“ Edgara Poë, na tem przeważnie uczuciu są zbudowane. Poë szczególniej drobiazgowo odtworzył wszystkie udręczenia trwogi, rozdzierające, gnębiące i druzgocące.

Do badań fizyologicznych nad bojaźnią zachęcił przykładem swym Darwin, który w dziele *O wyrazie uczuć u człowieka i zwierząt*, poświęcił jeden rozdział opisowi rozlicznych w tym zakresie objawów.

Studya nad tym samym przedmiotem świeżo wydrukował A. Mosso, prof. uniw. w Turynie, pod tytułem, przytoczonym w nagłówku niniejszego artykułu. W dziele swem spożytkował on cały materyał dotychczas nagromadzony, od „Traktatu o człowieku“ i „Traktatu o namiętnościach“ Dekarta, od zjawisk, które dostrzegali Lawater i główny komentator jego, Moreau, lub C. Bell w „Anatomii wyrazu uczuć,“ aż do „Mechanizmu fizyonomii“ Duchesne'a, „Fizyonomii i wyrazu uczuć“ Mantegazzy i „Zasad psychologii“ Spencera...

Oto niektóre spostrzeżenia Mossa:

Trwoga, zarówno jak ból, nagłe — oddziaływają nieporównanie potężniej, niż gdy przychodzą zwolna.

Liczba ruchów pomimowolnych, wywołanych przez bojaźń, jest nadspodziewanie znaczna, a fizyologia odkrywa coraz nowe. Pliniusz opowiada, że na dwudziestu gladyatorów można było znaleźć dwóch lodwie, którzy nie mrużyli oczu, gdy im znienacka pogrożono. Nawet za szybą szklanną mało kto potrafi się wstrzymać od spuszczenia powiek w tym razie.

Napływ krwi do mózgu M. obserwował u niejakiego Bertino, mającego na środku czoła otwór umyślnie zrobiony dla umożliwienia spostrzeżeń. Przy bardzo lekkiej obawie, spowodowanej napomnieniami i wyrzutami, czynionemi dla doświadczeń, puls mózgowy stawał się sześćkroć lub siedmkroć silniejszy, mózg nabrzmiewał, a dowcipny przyrząd, kreślący automatycznie drgania, dawał rysunki zdumiewające.

Charakterystyczne zblednięcie z bojaźni jest następstwem skurczenia naczyń. Krew napływa obficiej do centrów nerwowych, uciekając z rąk i nóg. Toż samo spostrzeżenie odnajdujemy w przysłowiu: „ręce zimne, serce gorące.“ Jedna z osób, zaprzyjaźnionych z autorem, opowiadała, że w chwili trwogi zsunął się jej z palca pierścionek, który zazwyczaj tylko z trudem zdejmować mogła.

Najmniejszy hałas przyspiesza rytm serca nawet u śpiącego. M. objaśnia to spotęgowanie krążenia krwi potrzebą przygotowania organizmu do walki. Mózg i muskuły, narzędzia napadu, obrony i ucieczki, sposobią się do działania. Im organizm jest wątlejszy, tem pobudliwszy. U kobiet, dzieci, ludzi osłabionych, częściej tętno serca bywa przynaglone, niż u zdrowych, samolubów, sceptycznych i zimnych.

Podobnie dzieje się z niezależnemi od woli zakłóceniami w przyrządzie oddechowym. Świeże doświadczenia Christianiego dowiodły, że blask żywy lub nagły szelest może oddychanie uczynić głębszem i częstszem nawet u zwierząt pozbawionych mózgu. Lekarze, towarzyszący ścięciu, opowiadają, że głowa ludzka, oddzielona od tułowia, pokrywa się niezwłocznie trupią bladością, twarz wykonywa przez ciąg sekund kilku ruchy bezładne, w oczach widnieje przerażenie. Chwilami usta dyszą. Wdychania, dokonywające się przez rozszerzenie nozdrzy i otwieranie ust, niebawem słabną, rzedną, wreszcie giną zupełnie. Częściowe życie gaśnie po chwilowem trwaniu.

Wzmożenie oddychania, spowodowane przestrachem, daje krwi więcej żywotności, czyni ją bardziej tętniczą. Lecz pożyteczną miarę w tym kierunku organizm aż nazbyt łatwo przekracza. Dzieci w chwili mocnego wzruszenia wydają krzyk ostry, głośno płaczą; niekiedy oddychanie ustaje zupełnie, zdarzają się spazmy, kurcze, nawet uduszenie.

Pożytku drżenia z bojaźni Darwin wskazać nie umiał. Mantegazza, w przytoczonem już dziele, mniema, że chodzi tu o podniesienie ciepłoty organizmu. Wszelako wyjaśnienie to uznaje Mosso za niedostateczne. Koń, pies, człowiek drżą z trwogi w lecie, podczas upałów dochodzących do 37°. Małpa, słoń drżą również mimo skwarów zwrotnikowych. Drżenie ogarnia nas w gwałtownym śmiechu, radości, upojeniu, rozkoszy i gniewie, aczkolwiek nie zachodzi potrzeba rozgrzania krwi; nogi dygocą, głos podlega zmianom. Niekiedy zjawisko to staje się zgubnem. Foka drży tak, że pozwala się doścignąć i zabić. Richet. w badaniach nad bojaźnią, ogłoszonych niedawno przez *Revue des deux mondes*, upodobnia ten objaw z bezwładem (paraliżem). Przygaśnięcie pobudliwości nerwowej, powodujące osłabienie i niemoc mięśni, znamionuje się zarówno drżeniem jak i nieruchomością. Wyrazy: trwoga sprawia drżenie — tyle prawie znaczą, co: trwoga paraliżuje. Dla organizmu pożytek stąd żaden. Podług Mossa, gdy dusza miotana jest potężnemi uczuciami, fale nerwowe krzyżują się, wprawiają w ruch cały system nerwowy i rodzą drżenie. Z objawem tym łączy M. padanie na kolana w czci i miłości...

Ciekawe są badania nad grą twarzy. Spotykasz przyjaciela i mówisz mu: „złą nowinę mam ci udzielić.“ Twarz jego, wejrzenie, gesta, zmienią się natychmiast. Niełatwo rozebrać te modyfikacye ledwo uchwytne; dostrzegamy jednak odrazu poruszenia oczu, rozszerzenie źrenicy, zabarwienie się policzków, zmarszczenie warg, rozdęcie nozdrzy, utrudniony oddech, zmianę w trzymaniu głowy. Podług Spencera (*Zasady psychologii*) mięśnie twarzowe dla tego tak są ruchliwe, że jako drobne i przyczepione do części łatwo poruszających się, słaby opór stawiają falom nerwowym. Wyjaśnienie to dla Mossa nie wystarcza. Mięśnie w uchu i niektóre inne są bardzo mało i cienkie, a przecież nie biorą udziału w grze twarzy. Te są czulsze na pobudzenia nerwowe, które częściej w ruch wprawiamy: więc związane z trawieniem, oddychaniem, mową, narzędziami zmysłów. Prąd nerwowy, obudzony pracą psychiczną, rozlewa się niezwłocznie drogami najczęściej używanemi. najmniej nastręczającemi oporu. Im wrażliwość jest większa, tem milej fałdują się usta do uśmiechu. Natomiast wybuch jest mocniejszy tam, gdzie odporność większa. Wieśniacy, także ludzie mało ukształceni i mało wrażliwi, nie uśmiechają się; pobudzanie rośnie w nich aż do wybuchnięcia hałaśliwym śmiechem.

Pewne kółka naszej maszyny działają nietylko bez udziału woli i świadomości, ale nawet bez podniety mózgu i rdzenia.

Tęczówka np. jest kolistą firanką, przymykającą się na żywsze światło, a rozchylającą w ciemności. Lecz ta przedziwna czynność ustaje pod wpływem silnego wzruszenia, a zwłaszcza trwogi. Wtedy naczynia kurczą się, tęczówka rozszerza, widzenie staje się mniej jasnem. Musimy znacznie zbliżać do oczu list, który chcemy przeczytać, a który nas przejmuje obawą. Niekiedy zjawiska tu opisane dochodzą do maximum i oko przestaje działać. Mówimy: „nic nie widziałem w strachu." Wielką wagę oka w wyrazie twarzy objaśnia M. złożoną budową jego mięśni, obfitością i rozmaitością nerwów. Nawet u ślepych z urodzenia malują się w oczach uczucia i usposobienia. Przeciwnie oko szklanne, choć najwyborniej zrobione, gdy nie ma ruchu, nadaje twarzy wyraz przestrachu.

Pot zimny obok bladości i drżenia, spowodowany czynnością nerwów przy trwodze, bólu, padaczce, drgawkach, autor odróżnia od gorącego potu, złączonego z podniesieniem ciepłoty ciała i zaróżowieniem skóry, a wywołanego podnieceniem gruczołów potnych przez obfity dopływ krwi. Naturalne wyjaśnienie znajdują też inne zjawiska, jak nieporządki dziwaczne, niekiedy śmieszne, w czasie mocnych wzruszeń a zwłaszcza obawy. Dawniej przypadłości takie tłomaczono paraliżem zwieracza; dokładniejsze badanie wykryło ścisły związek między skurczami pęcherza a niektóremi zjawiskami psychicznemi.

Z przestrachu można umrzeć. Choroba to ciała i duszy. Dzieje bitew obfitują w przykłady paniki, odejmującej możność obrony i ucieczki. Na widok tygrysa koń drży tak, że niezdolny jest uciekać. Niekiedy wzruszenie sprowadza paraliż serca. Stępiałą czułość mają starcy, a przecież ulegają wzruszeniom łatwiej z powodu osłabienia systemu nerwowego. Głośny jest wypadek, o którym opowiada Launder Brunton, profesor w szpitalu św. Bartłomieja w Londynie. Studenci, znienawidziwszy jednego z dozorców, postanowili ukarać go przestrachem. Ustawili w mrocznym pokoju pień i siekierę i przywiedli nieboraka przed sąd na niego złożony, który wydał wyrok śmierci. Chciał się śmiać, ale mu powiedziano, że tu żartów nie ma. Związano mu oczy, siłą zmuszono do uklęknięcia i schylenia głowy, jeden ze studentów pochwycił za siekierę, a inny delinkwentowi na szyję spuścił.., mokrą serwetę. Z przerażenia padł martwy.

Mosso. jak sam wyznaje, pragnął w badaniach swoich dotrzeć do początków myśli, odsłonić mechanizm, przetwarzający działanie fizyczne i chemiczne w odruch, w instynkt, w uczucie, w rozumowanie, wolę, odkryć tajniki powstawania świadomości: na tej drodze wszakże nie powiodło mu się zrobić ani jednego kroku. *Dogmat* idealistów lub *dogmat* materyalistów—oto wyjaśnienia dotąd jedyne.

Zjawiska, towarzyszące bojaźni, uważa Darwin za pożyteczne zwierzęciu wogóle, z wyłączeniem drżenia, mającego swe źródło w szczególnościach układu nerwowego. Widzieliśmy, że torem Darwina idąc, Mantegazza upatruje pożytki nawet wynikające z drżenia. Tak zwana *gęsia skórka* i jeżenie się włosów służą zwierzęciu, według Darwina, do tego, aby się w oczach przeciwnika lub współzawodnika większym i straszniejszym wydawać. Mosso tłomaczy najeżenie mimowolnym kurczem mięśni skóry, wywołanym przez kurcz naczyń krwionośnych, co zachodzi również i przy zziębnięciu. W podobnej niezgodzie z Darwinem jest M. co do wyjaśnienia nieruchomości i pozornej śmierci dostrzeganej u niektórych zwierząt i owadów w chwili przestrachu.

Wogóle, ponieważ objawy trwogi są przeważnie szkodliwie, więc winnyby, mówi Mosso, niknąć z rozwojem gatunków; dobór naturalny wpływałby na ich ograniczenie raczej, niżeli na spotęgowanie. Tymczasem objawy te, choć niekiedy pożyteczne, lecz w najwyższem natężeniu są chorobliwe i dowodzą tylko ułomności organizmów.

Zb.

KATECHIZM BUDDYJSKI.

Namo tassa bhagavato arahato samma Sambuddhassa przez H. S. Olcott'a z Rangun, z objaśnieniami dr. med. i filoz. Elliota Cones. Washington D. C. 1887.

Z prawdziwem zdumieniem przeczytałem tę książeczkę, zawierającą prawdy, rozpowszechnione między ludem indyjskim jeszcze przed dwoma tysiącami lat. Książka ta rozchodzi się na miejscu w niezliczonej ilości (w samym tylko Cejlonie sprzedano 1885 r. 17,000 egzemplarzy). Napisana w języku syngalskim, przełożona obecnie na angielski, francuski, niemiecki (w tym ostatnim języku miano 1886 r. drukować 27,000 egzemplarzy), jest ona najwierniejszym obrazem kanonu buddyzmu, co stwierdza i zewnętrznie aprobata, dana jej przez H. Samangala, arcykapłana z Sripady i Galle, tudzież uznanie ze strony kolegiów „najstarszych," słynących swą prawowiernością. Już z tego więc względu, jako świadectwo autentyczne, zasługuje na bliższe rozpatrzenie.

Jest to katechizm, jakiego używają w szkołach wyznawcy religii, stanowiący trzecią część ludności całej, ułożony w formie zapytań i odpowiedzi bardzo jasnych i przekonywających. Objaśnień tekstu oryginalnego, napisanych przez spirytystę amerykańskiego, nie uważamy za potrzebne uwzględniać, chcemy bowiem mieć prawdziwe wyobrażenie o samym buddyzmie, który p. Cones nagina do swoich mrzonek. Oto pierwsze karty tekstu w dosłownym przekładzie:

Pytanie. Czy Budda był Bogiem?

Odpowiedź. Nie. Budda był człowiekiem, przewyższającym tylko ludzi współczesnych i potomnych właściwościami moralnemi i umysłowemi itd

P. W jakich księgach zawierają się najcelniejsze jego nauki?

O. W trzech, pod imieniem *Triptikas* znanych zbiorach.

P. Czy wierzą buddyści, że księgi te są tworem objawienia, za jaki żydzi uważają swoją biblię?

O. Nie. Szanujemy je tylko dlatego, ponieważ zawierają prawa, na mocy których człowiek dokonać może zbawienia swego.

P. Czy wierzą buddyści, że Budda zbawić nas może?

O. Wcale nie. Żaden człowiek nie może być zbawionym przez drugiego, każdy musi się sam zbawić.

P. Gdybyś miał ducha całej nauki Buddy jednem, jedynem słowem oznaczyć, którebyś wybrał?

O. Sprawiedliwość (albo panowanie prawidłowości) w oryginale *Dhammacakkappavattana sutta.*

P. Czy wierzą buddyści w bóstwo?

O. Nie. Osobistego Boga uważają tylko jako olbrzymie widmo, które niby bezkształtny cień rzuciła wyobraźnia nierozumnych ludzi na tło próżni wszechświatowej.

P. Czy utrzymujemy, że wszystko stworzyła ręka stwórcy z niczego?

O. Budda uczy, że dwie rzeczy są wieczne: *akâza* i *nirwana*; wszystko powstało z *akazy* na podstawie tkwiącego w niej prawa ruchu i znika po pewnym czasie. Z niczego nigdy nie powstanie coś, a że w cuda nie wierzą buddyści, przeto zaprzeczają stworzeniu świata z niczego i nie mogą sobie wyobrazić stwórcy.

P. Jaka jest różnica między buddyzmem a innemi religiami?

O. Przedewszystkiem ta, że buddyzm uznaje wspaniałą dobroć bez Boga, ciągłość bytu bez nieśmiertelności duszy, szczęście bez nieba, możliwość zbawienia bez zbawiciela, bez kapłanów i pośredników, bez ceremonij, pokuty i modlitwy.

P. Czy w ludowym buddyzmie zawiera się tylko czysta prawda i nauki zgodne z dzisiejszym stanem wiedzy?

O. Jak każda inna religia, istniejąca od wieków, zawiera buddyzm niejeden fałsz pomieszany z prawdą, przecież i złoto nie wydobywa się całkiem czyste. Natchnienie poetyczne, fanatyzm religijny i tradycyjny zabobon prawowiernych zmienił w niejednym względzie naukę moralności wielkiego księcia z *Kapilawastu* (tj. Buddy).

P. Czy ma buddyzm pewne dogmaty wiary?

O. Nie. Owszem Budda niejednokrotnie napominał nas, abyśmy niczego nie brali na wiarę, choćby to było w najmądrzejszych napisane księgach, ani nie uznawali żadnej powagi, dopókiśmy się sami nie przekonali o prawdziwości rzeczy własnym rozumem i świadomością i według tego działali. *Dhamma-Pada* powiada: Podobne do kwiatu błyszczącego w wspaniałej purpurze, ale pozbawionego zapachu, są piękne mowy bez czynów.

P. Czy buddyzm jest religią, czy nauką?

O. Jest on głównie filozofią (moralnością filozoficzną). Przypuszcza powszechne prawo ruchu i zmiany, któremu wszystko, całe światy i wszelkie formy, tak żywotne jak nieżywotne podlegają. Wobec tego niema więc najmniejszego celu zajmować się początkiem i końcem świata, jak nas uczy Budda w księdze *Malúnka sútta*; bierzemy rzeczy jak są, a staramy się tylko istniejące złe i nędzę usunąć.

P. Co uczy buddyzm o nieśmiertelności duszy?

O. Słowo „dusza" uważa on za nieumiejętne oznaczenie różnych pojęć i wyobrażeń. Jeżeli wszystko ulega prawu przemiany, to nie może być człowiek z pod prawa tego wyjętym, a co ulega przemianie, nie może być wiecznie niezmiennem, dlatego to nie jest możliwą nieśmiertelność duszy niezmiennej.

Może zbyt wiele przytoczyliśmy z katechizmu buddyjskiego, ale usprawiedliwi nas jego treść, często z wnioskami najnowszej filozofi zupełnie zgodna. Tacy myśliciele, jak Schopenhauer, Draper i Haeckel, przytoczeni w przedmowie, wyrażają się z całem uznaniem o tej religii, przyznając, że np. w pojęciu wieczności, siły i materyi, oraz w innych przedmiotach stoi ona na wysokości wiedzy współczesnej. Trzej poważni francuzi, którzy niedawno publicznie przeszli na buddyzm i w świątyni Colombos i Galle złożyli „trzy śluby" — co nawiasem mówiąc jest niedorzecznem dziwactwem — zaręczali, że francuscy pozytywiści najnowszej szkoły są w teoryi i praktyce — buddystami.

I etyka buddystów, bardzo wzniosła, podobną jest do bramińskiej. Budda poświęca bogactwa, rozkosze, przepych — wszystko, z bezgranicznej miłości dla dobra bliźnich (dla zwierząt nawet) i idzie szukać przyczyn niedoli ludzkiej, ale nie widzi lekarstwa na nią w postach i katuszach ciała, ani w epikurejskiem używaniu, lecz w „wiadomości umysłowej i moralnej." Zupełny rozwój sił duchowych na podstawie fizycznych, możliwym jest przez podporządkowanie pragnień i namiętności zasadom i silnej woli. Tylko ci, którym brak tej ostatniej, muszą skłonności ciała zwalczać, a ponieważ ci, jak wiadomo, nie mogą dojść do wyższej potęgi w świecie ducha, możeby więc im taka próba na koszt ciała nie opłaciła się. Dla tych ludzi stoi otworem świat fizyczny.

Czemu niewiadomość rodzi cierpienia — pyta wyznawca Buddy. Oto dlatego, że nas trapią rzeczy, które nie są godne zmartwień, że cenimy wysoko to, co nie ma za-

-dnej wartości, słowem dlatego, że gonimy za marą. A na czem polega prawdziwa wartość rzeczy? „Na zupełnem poznaniu natury człowieka i jego przeznaczenia, na urządzeniu życia ludzkiego (nie przeceniając jego wartości), tak iżby przynosiło dla bliźnich i dla nas możliwie największą sumę szczęścia, oraz najmniejszą miarę cierpień.“ Na dnie religii buddystycznej spoczywa nieprzebłagany pesymizm, ze znikomości bytu wynikający, liczący się z okrutnem prawem, któremu podlegają wszystkie nasze pragnienia, zmysły i żądze, a którem jest zwiększenie się namiętności z równoczesnym ubytkiem środków do ich zaspokojenia. Karmiąc tę „hydrę,“ zarówno jak pokonywając, dolewamy tylko oliwy do ognia; jedynem rozwiązaniem, według myśli Buddy, będzie oderwanie człowieka od sfery zmysłowej w krainę ducha, gdzie każdego czasu może być zaspokojonym. Zbawienie i kres dążeń ludzkich, to nirwana, „stan zupełnej równowagi i spokoju, pozbawiony trosk, złudzeń i niezaspokojonych pragnień,“ daleki od nicestwa lub zniszczenia. Nawet pojęcie odrodzenia i metampsychozy, najbardziej naszym wyobrażeniom obce, nie sprzeciwia się teoryi rozwoju, zwykle darwinizmem zwanej, buddyści bowiem twierdzą, że rodzaj odrodzenia zawarunkowany jest różnicą złych i dobrych przyczyn, czyli karmą poprzedniego życia. Żaden czyn ludzki nie może ujść tej równowadze karmy, będącej tylko „wynikiem ogólnego prawa przyczynowego.“ Wyjaśnieniem tej „prawidłowości“ w naturze i w świecie moralnym zajmuje się nauka Buddy, zwana *Dhammacakka ppavattana*, tj. „ustanowienie panowania prawidłowości,“ polegająca na zasadzie, że nagroda i wyrównanie, wogóle zupełna sprawiedliwość jest powszechnem prawem natury, objawiającem się wprawdzie nie w okresie życia jednego człowieka, ale w przeciągu wieków, które skrócić i przyspieszyć może poświęcenie jednostek.

B.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Żywot kozaków lisowskich poemat J. B. Zimorowicza, ocenił i wydał K. J. Heck (odbitka ze Sprawozdania Zakładu Ossolińskich za rok 1886) z trzema podobiznami.

Czterokartkowy ten wiersz Zimorowicza, okryty słusznie przeszło dwuwiekowym pyłem zapomnienia, wydobyty znowu na światło dzienne przez Hecka, przypomina nam burłactwa tych łupieżczych Wallonów polskich, w których współcześni i potomni upatrywali bohaterów „roznoszących sławę oręża polskiego po całej Europie,“ a którzy w istocie odznaczali się tylko grabieżą, fanatyzmem i różnego rodzaju okrucieństwami zaciężnego żołdactwa, tej najgłówniejszej plagi XVII stulecia. Lisowczycy wywodzą ród swój, jak wiadomo, od Lisowskiego, szlachcica polskiego, znanego awanturnika (z epoki Dymitra Samozwańca), który na czele kilku tysięcy kozaków „przebiegał wzdłuż i wszerz całą Rosyę, niszcząc i rabując *głównie dla własnej korzyści*,“ docierając przez śnieżne wierzchołki Uralu i spienione fale Wołgi do morza Lodowatego. Oddział jego, złożony z początku z samych kozaków, werbował się później z „awanturniczych duchów szlacheckich“ i nie porzucił swego rzemiosła po śmierci założyciela, lecz pod dowództwem Kleczkowskiego, Kalinowskiego i innych żywił się nadal krwią i pracą biednego ludu, łupił i rabował zarówno kraj nieprzyjacielski, jak ojczysty. „Biada miastu, które nie miało dostatecznej załogi, by się przed nimi bronić; biada protestantowi, który dostał się w ich ręce, a nie miał się czem od śmierci wykupić, bo anioł zniszczenia szedł przed znakami oddziału Lisowskiego. Później zwłaszcza, gdy w służbie u cesarza przeszli całe Niemcy aż do Renu i dalej, gdy ludność zapoznała się bliżej z polskimi posiłkami, to na wieść o ich zbliżaniu się bito na gwałt w dzwony, zamykano bramy przed tymi sprzymierzeńcami i musiały wojska cesarskie towarzyszyć im w pochodzie, aby bronić poddanych od tych łupieżców domowych.“

Charakterystyka ta, podana na wstępie przez p. Hecka, zgodna zresztą z monografią tych junaków, ogłoszoną przez Dzieduszyckiego w 1843 r., jest wprost przeciwną opinii współczesnej. Jej wykładnikiem jest znany utwór kapelana lisowczyków, W. Dembołęckiego, fantasty i oryginała, nieodrodnego syna swej epoki, egzaltowanego kaznodziei, autora historyi świata przedpotopowej, wywodu jedynowładnego państwa świata i tym podobnych dziwactw. Postawił on swoim „Elearom polskim“ pomnik, charakteryzujący nietylko owych szermierzów „od samego Boga ku obronie kościoła powołanych“ — choć dane im na drogę listy polecające wcale niekorzystnie świadczą o nim i o kościele — ale całą epokę panegiryczną o wiele lepiej ilustrujący, niż poemacik młodziutkiego wówczas Zimorowicza, napisany i wydany w 1620 r., odznaczający się jedynie tylko jędrnym, scholastycznie zaostrzonym dowcipem.

Pominięcie to znamiennego, rzekłbym, rodzajowego typu lisowczyków — profil zdjęty z rzeczywistości uwiecznił w sztuce Rembrandt — a wygrzebanie i obrobienie nieznanego szpargału, jakiejś drobnej pierwociny, charakteryzuje nietylko naszego sumiennego, zresztą i pracowitego wydawcę *Żywota lisowczyków*.

Cała szkoła naszych „krytycznych“— jak się najchętniej tytułują — badaczów historycznych“ z arsenałem „metody“ niemieckiej, nieco formalistycznej, zużywa swoje najlepsze siły młodzieńcze i poświęca bezsenne noce takiej żmudnej, mrówczej, benedyktyńskiej, ale najczęściej *nieprodukcyjnej* pracy. A już najnieszczęśliwsi bywają oni z braku znajomości praw rozwoju społecznego w kierunku, w założeniu, albo wyrażając się ich językiem szkolnym, w samym „wyborze tematu pracy.“ Ręczę, że gdyby naprzykład p. Heck znalazł jeden egzemplarz tego *Żywota* w bibliotece Ossolińskich a drugi np. w książnicy Jagiellońskiej, byłoby mu nawet na myśl nie przyszło pisać o tej drobnostce, która dlatego tylko, że jest „białym krukiem,“ nabiera u tych prawdziwych mólów bibliotecznych jakiegoś urojonego znaczenia.

Bo że wyśrubowanie tego poemaciku Zimorowicza do faktu doniosłości historycznej przez wydawcę znamionuje tylko psychologicznie uzasadnioną gorliwość początkującego autora, który radby nadać przedmiotowi swej pracy niezwykłe rozmiary, na to przytoczyć można dowody. P. Heck podaje następujące przyczyny „doniosłości“ swego — jak go sam nazywa — *cennego* przyczynku do znajomości literatury naszej,“ uważając go: 1-o jako ważne ogniwo w łańcuchu utworów związanych ściśle z życiem i działalnością najwybitniejszego przedstawiciela umysłowej produkcyjności (?) Lwowa w XVII wieku, 2-o jako wierne zwierciadło współczesnej opinii publicznej o lisowczykach. Trzeci wzgląd, polegający na stosunku poemaciku do odpowiednich dzieł współczesnych, nie może nawet iść w rachubę, gdyż nie wyróżnia się ta robota wcale z pośród utworów z pierwszej ćwierci XVII w. jeszcze nie zupełnie skażonych duchem panegiryczno-makaronicznej epoki; co do dwóch zaś wymienionych przyczyn, to pierwsza musi upaść dlatego, że cały *Żywot* nie przypomina nam niczem kronikarza, co pierwszy skreślił dzieje Lwowa i zaczerpnął wiadomości o nich z archiwów, ani nie znamionuje w niczem lwowskiego mieszczanina, co przez długi czas jako rajca i burmistrz brał żywy udział w publicznych sprawach miasta i uchronił je przed nawałą turków i tatarów, a coby zdaniem samego autora, cechować mogło poemacik stemplem Zimorowicza. Co do ważności zaś utworu, jako opinii publicznej, to złudziły autora dowcipne napisy rozdziałów *Żywota*, jak „Prawa kozackie,“ „Obyczaje ciurów kozackich,“ celem ich bowiem, jak całego utworu, nie jest wcale charakterystyka organizacyi, obyczajów, zwyczajów itp. lisowczyków — jak mniema autor, ale po prostu wywołanie komicznego uczucia. Jest to więc humoreska — nawet nie satyra — poświęcająca z natury rzeczy chętnie prawdę historyczną dowcipnemu zwrotowi, w której trudno zakreślić granice, gdzie się kończy rzeczywistość a zaczyna żart. A taki utwór chyba nie może być „wyrazem opinii publicznej“ w znaczeniu autora.

Przekonania p. Hecka występują tylko z poza grubej zasłony faktów, ale z ubocznych wzmianek w rodzaju epitetu jezuickiego króla Zygmunta III, „*prawy* syn kościoła,“ (nawiasem mówiąc, jest to wyrażenie katolików wcale dla nich niepochlebne, gdyż przypuszcza, że kościół płodzi także *nieprawych* synów, co według mniemania prawowiernych należy do grzechów kardynalnych). W sprawach wiary autor jest konserwatystą, w rzeczach nauki kręci się czasem po manowcach archeologii.

P. Heck zalicza do braków Zimorowicza tę okoliczność, że jako syn murarza, chociaż dosyć zamożnego, nie obracał się w młodości „wśród kół, mogących rozszerzyć jego widnokrąg,“ że w wolnym czasie puszczał cugle młodzieńczym porywom i bujał sobie samopas, nie ślęcząc nad książkami, dokumentami—itd. Sądy estetyczne noszą na sobie wiele pleśni.

Dr H. B.

HENRYK REWAKOWICZ.

Lwów, 23 grudnia.

Dnia 21 listopada z. r. obchodził 30-letni jubileusz pracy publicystycznej jeden z najwybitniejszych dziennikarzy lwowskich, redaktor *Kuryera lwowskiego* — Henryk Rewakowicz. W obchodzie jubileuszowym, który wypadł bardzo poważnie i uroczyście, wzięli udział wszyscy, zajmujący jakiekolwiek znaczniejsze w obozie postępowym stanowisko, a do owacyi tej przyłączyła się także rada miasta z prezydentem swym na czele, zaznaczając tym sposobem obozowe swoje stanowisko. Prawdziwą wreszcie niespodzianką był współudział prowincyi, która już to za pośrednictwem deputacyj, już też niezliczonych listów i telegramów, złożyła hołd zasługom i przekonaniom jubilata.

Przystępując do skreślenia sylwetki tego dzielnego szermierza pióra, uprzedzić muszę na wstępie, że nie piszę wyczerpującego życiorysu; nie zapuszczam się też w szczegółowy rozbiór działalności jubilata, jako publicysty, bo właśnie tego rodzaju działalność, codzień nowych faktów dostarczająca, pozostawić może po upływie dłuższego szeregu lat ogólne zaledwie w umyśle wyobrażenie o swej wartości i doniosłości. Po wyczerpaniu zatem skromnego zapasu danych biograficznych, podam czytelnikowi ogólniejszą tylko charakterystykę tej — cokolwiek powiedzą

przeciwnicy — niepośledniej postaci w naszem dziennikarstwie politycznem.

Rewakowicz dobiega obecnie zaledwie dopiero lat pięćdziesięciu, urodził się bowiem w r. 1827 w Sokolnikach pod Tarnobrzegiem, gdzie ojciec jego był nauczycielem ludowym. Komu wiadome są warunki, w jakich żyć muszą galicyjscy światłodawcy wiejscy, zrozumie łatwo, z jakim trudem zdobywać sobie musiał młody wówczas Henryk potrzebne do przyszłego zawodu wykształcenie. Przebiwszy się z biedą przez gimnazyum na prowincyi, przybył wreszcie na uniwersytet do Lwowa, gdzie też niebawem w sposób, jak to zresztą zwykle bywa, przypadkowy, wszedł w szranki dziennikarskie. Było to w r. 1856. Życie umysłowe Galicyi ówczesnej podobne było do wegetacyi rośliny piwnicznej, łaknącej powietrza, światła i ciepła, a skazanej na oddychanie zimną stęchlizną zamkniętej ciemnicy. Nic dziwnego, że wśród takich stosunków nie mogło się też powodzić i prasie peryodycznej, czego najlepszym dowodem ilość wychodzących wtedy czasopism. Jak Galicya długa i szeroka, istniał wtedy w Krakowie *Czas*, a we Lwowie urzędowa *Gazeta lwowska*, tudzież beletrystyczny *Przyjaciel domowy*, założony przez Hipolita Stupnickiego.

Wówczas to, z końcem r. 1856, grono ludzi, na których czele stał dr Wisłocki, przystąpiło do wydawania codziennego pisma politycznego p. n. *Swit*. W skład redakcyi weszli, między innymi, Henryk Rewakowicz, Platon Kostecki i wielu innych wybitniejszych pracowników. *Switowi* jednak, mimo że nie miał żadnych poważnych współzawodników, nie powodziło się dobrze; już bowiem z początkiem 1857 r. przestał wychodzić, zamykając liczbę prenumeratorów na cyfrze 150.. Wkrótce potem wspomniany już Stupnicki, człowiek bez wyższego wykształcenia, ale ruchliwy i rzutki, założył nowe pismo p. t. *Przegląd powszechny*, który z początku wychodził dwa razy na tydzień, później zaś trzy razy pod tytułem zmienionym na *Przegląd powszechny polityczny*. Rewakowicz wszedł do redakcyi, ale i tu niedługo współpracował. W r. 1861 władze dopatrzyły się w jakimś artykule zbrodni zdrady stanu i *Przeglądowi* wytoczono proces, który skończył się więzieniem wydawcy Ksawerego d'Abancourt i Rewakowicza, jako autora artykułu. Ten ostatni skazany został na dwanaście lat więzienia, a ponieważ pan Henryk uważał ten wymiar kary za surowy i apelował przeciwko wyrokowi, dodano mu jeszcze w apelacyi dwa lata, skazując ryczałtem na czternaście lat kozy... Niebawem jednak nadeszła z Wiednia amnestya powszechna i Rewakowicza uwolniono.

Niepowodzenie *Przeglądu* nie odstręczyło Stupnickiego od przedsiębiorstw wydawniczych. Już w marcu 1862 r. rozpoczyna on wydawanie *Gazety narodowej*, która niebawem przechodzi pod naczelne kierownictwo i na własność głośnego Jana Dobrzańskiego. Jak niemal wszyscy dziennikarze i literaci lwowscy, starszego zwłaszcza pokolenia, przeszedł i Rewakowicz (że użyję utartego u nas zwrotu) przez *Gazetę narodową*, z której atoli skutkiem nieporozumień natury politycznej z Dobrzańskim, razem z Janem Lamem wystąpił, przechodząc w r. 1868 do świeżo założonego *Dziennika polskiego*.

Były to czasy dla dziennikarstwa lwowskiego niezwykle gorące. Ścierano się o zapatrywania i osoby, o sztandary i ich chorążych z animuszem, o jaki już dzisiaj trudno. Wrzało bowiem wtedy życie nietylko na szpaltach dziennikarskich, ale może jeszcze więcej i goręcej w samem społeczeństwie, w salonie i na ulicy. *Gazeta* broniła polityki Franciszka Smolki, wtedy adwokata a obecnego prezydenta Izby posłów austryackiej Rady państwa — *Dziennik* zaś był wyrazem poglądów b. burmistrza m. Lwowa, dziś ministra Ziemiałkowskiego. W zapale wojennym targano się za bary, a co gorsza, szarpano sobie sławę i zaciągano się nawet przed sądy — Rewakowicz atoli wyszedł z tych wszystkich opałów cało i czysto.

Tak zeszło mu lat kilkanaście w *Dzienniku polskim*, t. j. do r. 1884. Rok właśnie mija od czasu powstania *Kuryera lwowskiego*. w którym przewodniczył p. Ludwik Masłowski. Obecny redaktor ciężko zachowawczego *Przeglądu* zagrzmiał zrazu czystym tenorem wolnomyślności, postępu i demokracyi, niedługo jednak trwało, aliści z ulicy Akademickiej ozwały się głosy jakoweś niesamowite, kuszące przypuszczać, że chyba duch nieczysty obrał tam sobie chwilowe siedlisko. *Kuryer* zaczął umieszczać głośne „Listy do przyjaciela,“ którymi p. Masłowski próbował uzasadnić apostazyę swą z obozu liberalnego. Skutek tych „Listów“ był jednakowoż taki, że „przyjaciele“ poczęli się oglądać za innemi gazetami, a wydawca, nie chcąc dojść do cyfry abonentów wspomnianego wyżej *Switu*, w sam jeszcze czas rozstał się z naczelnym nieprzyjacielem i redaktorem swego pisma, ofiarując redakcyę Rewakowiczowi.

Niełatwo przyszło nowemu kierownikowi wydobyć z rowu i naprawić popsuty wóz *Kuryera*. Szczera atoli i serdeczna odezwa do czytelników oddziałała sympatycznie i zwolna zaczęli powracać dawni prenumeratorzy, dla których samo nazwisko Rewakowicza starczyło za długie i wykwintnie redagowane programy. To też po upływie dwu zaledwie lat osiągnął *Kuryer* niebywałą u nas jeszcze cyfrę abonentów. Liczy ich około 3,000, z tych w samym Lwowie przeszło 1,000. Co do własności *Kuryera*, to dzieli się ona obecnie na trzy części: jedna trzecia należy do Rewakowicza, dwie zaś pozostałe do p. Mieczysława Szmitta, który udział swój odstępuje właśnie p. Bolesławowi Wysłouchowi, wydawcy *Przeglądu społecznego*.

Powodzenie, jakiem się *Kuryer* cieszy, przypisać należy nie tyle staranności redakcyi, która, podobnie jak innych pism naszych, wiele pozostawia do życzenia, ale przedewszystkiem tej poczciwej i miłej, acz prostej nucie, która gra z każdego niemal jego łamu i dla najszerszych kół jest zrozumiałą. Zajęty głównie sprawami krajowemi, w wróżby wysokopolityczne się nie bawi, a rozbiór i ocenę wypadków zagranicznych redukuje zazwyczaj do lakonicznych w tym guście uwag, jak np.: „Z Antiwari donoszą o nadejściu świeżego transportu dział dla Czarnogóry. (Oho, widocznie kniaź Mykita znowu coś mykici. Przyp. red.),“ albo: „Bismark oświadczył w parlamencie, że z Stolicą św. nawiązano zostały znowu dobre stosunki (Ne zdurysz aptekara szajdewaserom! Przyp. red.)“ itp.

Ma też Rewakowicz i styl swój i język odrębny. Gdy chwali, to z całą serdecznością, gdy zaś gani... to nie pisze, ale rąbie i miażdży z zacięciem iście staropolskiem, pełnem prostoty i jędrności, przypominającem niejednokrotnie pisarzy naszych z XVI w. Napróżnobyś szukał u niego mowy gładkiej i stylu wykwintnego — znajdziesz natomiast werwę i zapał młodzieńczy, który Rewakowicza nie opuszcza nigdy, tak przy biurku redaktorskiem, jak na zgromadzeniu wyborczem, jak wreszcie przy każdej innej czynności publicznej.

Przekonań szczerze demokratycznych i wolnomyślnych, a postępowy do tego stopnia przynajmniej, na jaki wznieść się zdołał przeciętny postępowiec galicyjski— służy Rewakowicz niezłomnie sztandarowi, któremu w latach jeszcze młodzieńczych poprzysiągł wiarę i miłość. Zapatrywania swoje wyraża konsekwentnie w *Kuryerze*, a że przemawia popularnie i głos jego zrozumiałym jest dla mniej nawet wykształconych czytelników, stał się też formalną wyrocznią pewnych sfer, które słuchają go zawsze z uwagą i namaszczeniem, z dziecinną niemal wiarą, że to, co *Kuryer* powie, jest i musi być prawdą. I przyznać trzeba, że ufność ta zasłużoną jest o tyle przynajmniej, iż Rewakowicz nie skłamał nigdy — nawet w interesie własnego stronnictwa. Nie piszę panegiryku, nie należę zresztą do tej chorągwi w obozie postępowym, której Rewakowicz jest namiestnikiem, a z mego stanowiska widzę, że jubilat nasz omylił się niejednokrotnie, sąd wydał nieraz o rzeczy, czy o człowieku, zbyt może pospieszny i zbyt bezwzględny, w tej sprawie spudłował, w tamtej nie trafił na właściwy ton; zaświadczyć przecież muszę, że słowa jego płynęły niewątpliwie zawsze z najgłębszego wewnętrznego przekonania. Chętnie też krzywdę mimowolną, jeśli komu wyrządził, naprawia, nie posiadając w swym charakterze ani cienia zarozumiałości. Człowiek to cichy i zgodny, a choć pełen odwagi do bronienia sprawy słusznej — ustępuje łatwo w kwestyi wątpliwej.

W pełnej sile lat męzkich Rewakowicz wyrasta dziś na przywódcę — nie powiem, całego obozu demokratycznego, ale znacznej jego części, a mianowicie—*mieszczaństwa*, którego interesów broni w *Kuryerze* z uznania godną wytrwałością i energią, częstokroć z poświęceniem poczytności pisma, gdy większa część jego szpalt formalnie jest przepchaną „dostawami dla armii,“ „konkurencyą pracy więziennej“ itp. lekką strawą. To też jako specyalny orędownik klasy przemysłowo-rękodzielniczej, miru zażywa w kołach mieszczańskich ogromnego, widzą w nim bowiem one opiekuna gorliwego i szczerego. Posiada on dzisiaj w średnich warstwach naszego społeczeństwa wpływ tak wielki, jakim chyba cieszył się ongi nieboszczyk Dobrzański, z tą tylko różnicą, że gdy „Jancia“ bano się — Rewakowicza kochają wszyscy, a nawet nieprzyjaciele szanować muszą. Równą troskliwością otacza *Kuryer* sfery niższo-urzędnicze, stając zawsze, gdzie potrzeba, w obronie „białych murzynów.“ Broniąc uciśnionych, zajął Rewakowicz także i w sprawie ruskiej stanowisko sprawiedliwości, domagając się równouprawnienia dla rusinów. Rzadko, co prawda, odzywa się w tej mierze, ale ilekroć to uczyni, zawsze sympatycznie dla bratniego ludu.

Czynny niezwykle na rozmaitych niwach życia publicznego, na polu oświaty i przemysłu krajowego, w towarzystwach i na zebraniach — nie doczekał się dotychczas mimo to żadnego dostojeństwa, bo się też o nie i nie ubiegał. Jest tylko członkiem rady miasta Lwowa, w której pracuje gorliwie około dobra gminy.

Charakterystyka Rewakowicza nie byłaby zupełną, gdybym nie wspomniał jeszcze cośkolwiek o zewnętrznym jego wyglądzie. Postać to niezwykle oryginalna, a mógłbym ją nazwać typową, gdyby chodziło o typ szlachcica zagonowego. Wysoki, tęgo zbudowany, rysów grubych, ale przyjemnych i wejrzenia sympatycznego, o twarzy ozdobionej pięknym wąsem, ubiera się zawsze po polsku, chodząc zimą w grubej czamarze, latem zaś w kitli jakiejś białej, na podobieństwo zapewne owych płaszczów skrojonej, w których goście soplicowscy wybierali się na grzybobranie... Wogóle o stronę zewnętrzną dba tyle tylko, ile tego wymaga przyzwoitość. Serdeczny w obejściu, nieprzyjacielem jest wszelkiego konwenansu i etykiety, domyślam się też, że każdy występ na posadzkach woskowanych musi być dla niego wielce bolesnym...

Tak oto się przedstawia człowiek, któremu ludzie dobrej woli i wolnej myśli oddali hołd, czcząc jego pracę zdrową i pożyteczną, uznając charakter nieskazitelny, czysty jak łza i nieugięty.

Stefan Ramult.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Ch. Letourneau: *L'Evolution de la Morale*, Paris, 1887.

Jest to jedna z napoważniejszych prac, wydanych tej jesieni w Paryżu. Obszerny tom o 500 blizko stronicach dzieli się na dwadzieścia lekcyj; są to bowiem wykłady, miewane przez autora w zimowem półroczu 1885—86 r. w Szkole antropologii w Paryżu. L. mówi na wstępie o „żyjącej przedhistoryczności,“ zastanawia się dalej nad źródłem skłonności moralnych, przebiega zaś w rozwoju etycznym kolejne fazy, którym nadaje miano moralności zwierzęcej, dzikiej, barbarzyńskiej, przemysłowej i handlowej, metafizycznej oraz utylitarnej i rozwojowej. Jeden z końcowych rozdziałow traktuje o wpływie wrażeń religijnych na moralność.

Guillaume de Greef: *Introduction de la Sociologie*, część I, Paryż, 1886 str. 233.

Po licznych już próbach Comte'a, Spencera, Schäfflego, Fouilléego, Gumplowicza i wielu innych nakreślenia ścisłej, umiejętnej socyologii pokusił się o to i p. de Greef w obszernym tomie, który służyć ma tylko za wstęp do dalszych jego wywodów. Dodać należy, że autor nie wspomina nic o pracach trzech ostatnich z wymienionych autorów, zajmując się głównie poglądami Comte'a i Spencera. Rozbiera tu także zasadnicze a sporne pytania: czy społeczeństwo jest organizmem i czem się różni od organizmu biologicznego? jaki jest właściwy zakres socyologii? klasyfikacya zjawisk społecznych?— itd. De Greef słusznie zwraca uwagę na znaczenie zjawisk ekonomicznych, na istnienie organów życia społecznego, będących jego szkieletem i wiązadłem — porusza wiele bardzo spraw z tego zakresu, nie rozstrzyga ich jednak o wiele szczęśliwiej od swych poprzedników. Dodać musimy, że książka pisana rozwlekle, mnóstwo w niej powtarzań i wogóle brak tyle rzadkiej w pracach podobnych ścisłości.

Novicow: *La Politique internationale*. Paryż 1886. P. Nowikow, rosyanin, zamieszkały podobno w Odessie, wydał niezbyt dawno w Paryżu obszerną książkę, w której puścił się na fale polityki międzynarodowej. Zaznacza on trzy stopnie w rozwoju społeczeństw: plemię, państwo i narodowość; rozbiera następnie warunki wymierania, odradzania się i trwałości narodów, marzy wreszcie o federacyi ludów europejskich, złączonych wspólnością cywilizacyi i braterstwem wzajemnem. Pełen jest zachwytu dla cywilizacyi zachodnio-europejskiej, dla liberalizmu i postępu, zdradza zresztą upodobanie arystokratyczne i nie lubi widocznie demokracyi. Książka pisana jest językiem łatwym i zawiera wiele faktów, obok przypuszczeń, opartych na złudzeniu i wyobraźni.

A. de Quatrefages: *l'Introduction à l'étude des races humaines* (Histoire générale der races humaines). Paryż. 1887.

Praca ta znanego antropologa francuskiego stanowi tom wstępny wydawnictwa Hennuyera p. t. *Bibliothèque ethnologique*. Quatrefages jest zwolennikiem jedności rodzaju ludzkiego i przeciwnikiem w wielu ważnych punktach teoryi Darwina. W rzeczonej bibliotece wyszła już monografia *Azteków* przez Biarta, zapowiedziane zaś są: *les Races jaunes* p. Montano, *les Races noirs* p. d-ra Hamy, *les Races rouges* p. L. Bierta. W wychodzić mającej równolegle *Bibliotece etnograficznej* pojawić się ma *l'Histoire des Mongols* J. Denikera, oraz historya Nigrycyi p. d-ra Toutain.

G. Tarde: *La Criminalité comparée*. Paryż, 1886.

Dzieło to tworzy tom *Biblioteki filozofii współczesnej*. Autor rozpatruje różne filozoficzne teorye przestępstwa, skłaniając się do zapatrywań, które w stosunkach społecznych szukają jego źródeł. W tym kierunku wypowiada zresztą wiele bałamutnych twierdzeń. Rzecz wogóle nie odznacza się ani pełnością, ani ścisłością wykładu.

L. Grandeau: *Etudes agronomiques*. Paryż, 1886.

W tomie tym jeden z najwybitniejszych agronomów francuskich, dyrektor wschodniej stacyi rolniczej we Francyi, zebrał wiązkę ciekawych studyów. Za główny środek przeciwko powszechnemu dziś przesileniu ekonomicznemu uważa: powiększenie o ile można dochodów obok zmniejszenia kosztów produkcyi i wydatków. Na prostą tę radę trudno się nie zgodzić.

E. P.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Nowy rok. — Jego szczerość. — Co mówił o nim ojciec. — Kłamstwa poprzedników. — Sprywatnienie szczęścia. — Wrażenia w bezpiecznym domu.— Wróżba. — Obrady w *Gazecie rolniczej*. — Grunt i badyle. — Konkurs studentów Instytutu puławskiego. — Na co padła uwaga młodzieży. — *Wszechświat* jako Hamlet. — Ile jest modniarek, a ile matek. — Zagrożone dzieci. — Opieka domu.

Mnie, gdy to piszę, jeszcze nie owionęło tchnienie roku nowego, ale was, gdy to czytacie, już on pozdrowił. I jakiemiż uczuciami? Czy jak jego poprzednicy pokazał wam latarnię czarnoksięzką z uroczymi widokami? Czy opowiedział ewangelię o błogosławionych a cichych i ubogich? Czy upewnił, że idący przez suchą i skwarną pustynię znajdą niedaleko cienistą oazę? Słowem — pocieszał, durzył? Chyba nie— oświadczył tylko, że od dnia 1 stycznia zaczyna się nowa nić, na którą nawlekać trzeba twarde, czarne paciorki, przedzielane większemi, a tworzące różaniec czy koronkę, którą my i dzieci nasze odmawiać mają nieskończoną ilość razy dla dąstąpienia odpustu. Uszanujmy go, bo — szczery. Widziałem już różne lata radosne i smutne, poważne i wesołe, ale sądzę, że 1887 przewyższy wszystkie szczerością. Jeszcze go nie znam, ale konający jego ojciec szepczo o swym synu:

— Ludzie prawią, że będzie straszny, okrutny, że z fałd szaty swojej wypuści na świat burzę, w ręce ujmie miecz wojny i pochodnię pożogi — wszystko to być może, nie wiem. Wiem wszakże to, że was nie okłamie. Przeciwnie, rozproszy wszelkie złudzenia, potłucze różowe okulary, pozdejmuje bielma z oczu, uleczy głuchych i ociemniałych. Tak go wychowałem, a jeżeli znajdą się niepoprawni marzyciele, pijani optymiści, obłąkani weselnicy, których on nie wytrzeźwi i rozumu nie nauczy, będą to chyba wełniasto barany i tłuste wieprze, umiejące leżeć na zgrzeblach i wychwalać miękkość tego posłania.

Bardzo jestem wdzięczny nieboszczykowi, że tak ukształcił i przedstawił swego potomka. Zawsze dużo znaczy wiedzieć, kogo spotykasz i co on ci przynosi! Przypomnijcie sobie tylko, starzy i młodzi, ile gorzkich zawodów kosztowała nas naiwna wiara w obietnice lat poprzednich. Ten przyrzekał cuda, tamten — rozkosze raju, inny — urzeczywistnienie najfantastyczniejszych rojeń, inny — przeróbkę świata, inny — pomoc sił nadziemskich, inny— miłość zrodzoną w egoizmie, inny — ogień w lodzie, inny — łzy w krzemieniu — słowem przeciągnął długi szereg łgarzów i kuglarzów, których brednie i duby smalone brano za rzetelne prawdy i proroctwa. Zobaczycie, że 1887 sprawi się inaczej. On ukaże istotę rzeczy bez osłonek i wypowie swój sąd bez wahania. Będzie odważny, niezłomny, skrupułami nieskrępowany. Gdy zajdzie potrzeba, on nie cofnie się przed żadnym środkiem, wiodącym do celu. Wziął to po ojcu, który pod koniec życia pozbył się wszelkiego sentymentalizmu.

Wobec tej jego szczerości życzenia są łatwe, bo ograniczone. Nikt przecie ani dla siebie, ani dla innych pragnąć nie może, ażeby konieczność w jakimkolwiek wypadku złamała lub zgięła swoją żelazną logikę, lecz każdy życzy sobie i innym dokładnego poznania tej konieczności. A co to jest konieczność? Wszystko co się stało lub stać się musi.

Nie przypuszczajcie wszakże, ażebym po duszach waszych chciał z pesymistyczną ironią przeciągnąć jej zimne zwoje i ażebym mniemał, że ona nie da wam żadnych zadowoleń pod srogiem władztwem roku nowonarodzonego. Nie — w tej dobie życie, jak noc, musi być ciemniejsze, ależ ono zwykle jest tylko nocą, w której jaśnieją jedynie większe i mniejsze gwiazdy, księżyce, ogniska i latarnie. Idzie więc tylko o to, skąd się spodziewać światła i ciepła, czy od ogni wiecznie w pustyni płonących, czy od ręką ludzką zapalonych? Już od lat kilku widzę, że szczęście ludzkie coraz bardziej — że tak powiem — prywatnieje, przenosi się z rynków publicznych do zakątków domowych. Wszyscy zapewne doznajemy wrażeń ludzi, którzy z zawiei, śnieżycy, ulewy lub chłodu uciekają do swych mieszkań i tam zmieniwszy odzież, ogrzawszy się i posiliwszy, uczuwają rozkosz, potęgowaną co chwila świstem wiatru za ścianą, skrzypem zmarzłego śniegu lub pluskiem deszczu. Gdy nawet każdy pamięta, że jutro na szarugę i zimno wyjść musi, dziś używa przyjemności bezpiecznego schronienia w gronie rodziny i przyjaciół. Nie pomawiajcie mnie więc, że takiej przyjemności nie wróżę i nie życzę wam w roku przyszłym; owszem zdaje mi się, że będziecie jej doznawali bardzo często, gdyż barometry przepowiadają, że rok ów przejdzie bardzo słotny i mroźny. O ile tedy niezależnie od tej niepogody szczęście ludzkie w zaciszu snuć się może, snuć się będzie. I serca nie przestaną kochać, i rozumy badać, i uczciwe charaktery promieniować, ale wszystko to — jak życie rolnika w jesieni i zimie — zamknie się w szczupłych kółkach stosunków prywatnych. Bujnego rozrostu i rozkwitu idei i uczuć ogólnych niech się nikt nie spodziewa. Abelard będzie musiał przerwać wykłady swej filozofii i poprzestać na pieszczotach Heloizy, Dante zawiesi pisanie *Komedyi boskiej* i zatonie we wspomnieniach o Beatryczy. Bach zarzuci koncert na organach i poświęci cały czas wolny uczeniu synów kontrapunktu, przemysłowiec wyrzeknie się nowych przedsiębierstw i zadowolni obcinaniem kuponów — itd. Wogóle — według mojej wróżby — życie rozpryśnie się na mnóstwo drobnych wirów, po których żaden wielki statek nie przepłynie.

Nie cofnę tej wróżby, chociaż pojedyncze fakty pozornie przeczyć jej będą i na uznanie zasłużą. Ziemianie nasi w ostatnich czasach objawili dużo chęci ratowania i naprawiania rozbitego statku. W *Gazecie rolniczej* mają oni znowu rozpocząć obrady nad swoją biedą, czyli nad sposobami ekonomicznego i umiejętnego prowadzenia gospodarstw w zmienionych warunkach. Nazwałem ich kiedyś „przemysłowcami rolnymi,“ za co *Gazeta* strzeliła do mnie aż dwoma wykrzyknikami. Niejeden już strzał tego rodzaju z jej kołczanu utkwił w ciele mojem i prawie zawsze nie wiedziałem, co go wyrzuciło, bo znaki drukarskie nie są argumentami. Domyślając się wszakże tym razem, że *Gazeta* uważa tytuł „przemysłowców rolnych“ dla „obywateli“ za zbyt skromny, nie tracę nadziei, że oni raczej będą jak „przemysłowcy rolni,“ gdyż tylko w tej roli osiągną cele ekonomiczne, o które im przedewszystkiem chodzi. Niech się przezywają, jak im się podoba — obywatelami, czołem narodu, jego przodownikami, szlachtą, lordami — aby tylko rozmyślali nad swem położeniem, badali przedmiot trzeźwo i wyprowadzali rozu-

mne wnioski. To — grunt, a tytulacya—badyle na tym gruncie.

Tak zwana „szlachta“ (obejmująca dziś w swej różnorodnej mieszaninie posiadaczów większej własności ziemskiej), skorą była zawsze do obrad, ale nie tych, które dotyczyły jej zawodu ekonomicznego. Wolała ona rozprawiać o tem, co knuje Napoleon lub Bismark, niż o tem, co knują i robią zbożowi kupcy amerykańscy. Dopiero obecne groźne przesilenie sprowadziło jej myśl bujającą i zbłąkaną w górnych kręgach „wyższej polityki“ na padoł spraw i interesów praktycznych, ograniczonych. Zasługę ujęcia i skrępowania tego nałogowego zbiega przyznać należy niewątpliwie *Gazecie rolniczej*, która również zajęła się uorganizowaniem nowej narady.

Poczciwa młodzież Instytutu w N. Aleksandryi (Puławach) ogłosiła za pośrednictwem *Gazety rolniczej* konkurs na rozprawę następującą: „Wykazać najwłaściwsze sposoby wynagradzania oficyalistów, robotników, wogóle stałej służby folwarcznej w gospodarstwie rolnem, oraz środki zapewniające im samym i ich rodzinom byt w razie starości lub kalectwa; przytem wykazać, jaki wpływ wywarłyby na robotników owe najwłaściwsze w tym względzie reformy proponowane przez autora.“ Że młodzież objęła swą uwagą tę stronę przemysłu rolnego — dolę oficyalistów i robotników — jest to bardzo naturalnem i pięknem; że zaś na tę stronę rzucić należy nieco światła i... dobrej woli — przyzna każdy, kto w przychodach i rozchodach dziedzica nie widzi całej kwestyi rolnej. Niech panowie radzą i pamiętają o sobie, ale niech ktoś także radzi i pamięta o ich służbie. Nie podnośmy ciągle oczu w górę, lecz opuśćmy je również niżej, najniżej, bo na najgłębszych nizinach żyją ludzie najbiedniejsi i najnieszczęśliwsi.

Rok nowy powołał do życia dwa pisma, a do grobu ciągnie jedno. Mianowicie *Wszechświat* rozmyśla ciągle nad Hamletowskiem pytaniem: być albo nie być — i pomimo zapewnień o udzielonej mu podporze, chwieje się i o ratunek prosi. Wszyscy mu odpowiadają radą, a nikt skuteczną pomocą. Obojętność ta jest dość zrozumiałą w społeczeństwie wykształconem encyklopedycznie i stroniącem od wszelkiej specyalności. Z bardzo nielicznymi wyjątkami pisma specyalne nie miały u nas nigdy szerokiego powodzenia, a suchoty, na które cierpi *Wszechświat*, dotykają również *Przegląd pedagogiczny* lub *Gazetę sądową*. Zdawałoby się, że ludzi, pragnących umiejętnie wychowywać swe dzieci nie brak; tymczasem poświęcony tej sprawie, walczący z niebywałemi trudnościami *Przegląd pedagogiczny* jest przez ogół zupełnie tak traktowany, jak np. w Niemczech organ gry szachowej lub marek pocztowych. Szanowne matki, ile was jest między prenumeratorkami wzorów mody? Co najmniej 10,000. A ile z was abonuje przewodnik pedagogiczny? Może — 100. Na 100 tedy obywatelek, pragnących ubrać się modnie, wypada jedna, pragnąca dzieci wychować dobrze. Wspaniały stosunek! Jeżeli on ma wyrażać dbałość naszą o siłę umysłową i zdrowie moralne pokoleń przyszłych, pokolenia te będą miały prawo zrobić nam ciężki wyrzut. My, dorośli, przemokli i zziębnięci w szarugach i zawiejach, chronimy się do domów; czy dzieci nie są skazane na ten sam los i czy przy ogniskach rodzinnych znajdują dostateczną opiekę? A przecież one są mniej wytrzymałe, łatwiej przeziębiają się i dostają chorób, które opłakujemy w rozwinięciu a którym nie zapobiegamy w zarodzie! Nie mówię naturalnie o ciepłych butach i paltotach, lecz o tej hygienie, której uczy *Przegląd pedagogiczny*. Powtarzam zaś, że r. 1887 będzie prawdopodobnie bardzo niepogodny, bardzo! Czytaliście ostatnie telegramy? *Poseł Prawdy.*

NA WIDNOKRĘGU.

Badania kalendarzowe. — Pouczający rachunek. — Co robi plugawe chłopstwo zbogacone. — Mleko i mięso. — *Niwa* o korepetytorach.

Na schyłku starego roku i przy świtaniu nowego niejeden z czytelników moich bawi się chętniej świeżym kalendarzem, niżeli gazetą. Maleńka ta odmiana jest niby wypoczynkiem nawet. Dziennik lub tygodnik nieustannie każe się spodziewać rzeczy nieznanych a ważnych, wciąż rozciekawia, szeleszcząc kurtyną, za którą kryje się przyszłość, drażni zapowiedziami wypadków fatalnych lub zbawczych, mających narodzić się jutro, pojutrze, niewiadomego dnia i godziny. Kalendarz nie wprowadza w taki stan oczekiwania natężonego. I on przepowiada zjawiska bardzo ważne dla gospodarstwa i wszechświatowego i ludzkiego, ale wróżby swoje głosi z pewnością niezachwianą, godną zaufania. Jak mi powie, że 1 kwietnia 1887 r. będzie dniem *siedmiu boleści*, albo że wtedy przybędzie 5 godzin i 16 minut dnia, nie obawiam się, że na mnie z poza tych wróżb czatuje *prima aprilis*.

Więc w tych minionych dobach świątecznych, z natury swej drażliwych ze względu na budżet domowy, brałem i ja do ręki kalendarz chętniej niż pisma i doszukałem się w nim rzeczy, zdolnej — trzeźwego nawet — rozmarzyć.

Otworzyłem rozdział p. t. „Ważniejsze wiadomości o rządach, dynastyach, siłach zbrojnych, lądowych i morskich, finansach itd. w państwach starego i nowego świata“; chwilę wertowałem go spokojnie, później wziąłem ołówek do ręki, notowałem, liczyłem i nakoniec otrzymałem w okrągłych liczbach $33\frac{1}{2}$ *miliardy*... długu, obciążającego państwa europejskie z pominięciem Turcyi, która swoje przepaści finansowe osłania tajemnicą, niezbadaną nawet dla kalendarza. Wynika stąd, że każdy przeciętny europejczyk, przychodząc na świat, już jest obciążony setką rubli długu w funtach szterlingach, frankach, markach, florenach rozlicznych, drachmach, kronach, denarach, lirach, pesetas, milreis itp. Zamieniając tę wszystką monetę na ruble, zachowałem względne umiarkowanie, gdyż liczyłem markę za 50, guldena za 80, franka za 40 kop., funt szterling za 10 rs. itd.

Odsetki od powyższego długu płacone są według różnej stopy. Jeżeli przeciętnie przyjmiemy po 3% (co będzie raczej za mało niż za dużo), to roczny wydatek na procent wyniesie miliard rubli, a dzienny—przeszło półtrzecia miliona.

Wobec tak potężnej współkonkurencyi cóż dziwnego, że zwyczajny śmiertelnik musi dużo płacić łaskawcowi, który mu raczy udzielić pożyczkę!

Wystawmy sobie teraz, żeby Moltkowie, Boulangery i inni pierwsi skrzypkowie orkiestrowego koncertu, zamiast *fortissimo*, zdecydowali się czas jakiś grać *piano* i żeby skutkiem tego państwa przyszły do możności zlikwidowania długów.

Któż wyobrazi sobie następstwa tej powodzi spłacanych miliardów; kto sobie wyobrazi rozpacz kapitalistów; dalej epokę zamieszania i epokę nową, któraby po tamtej nastała?

Nie posiadając pióra Vernego, nie podejmuję się roli przewodnika w fantastycznej wycieczce do krain dalekiej przyszłości. W te czarodziejskie okolice wybierz się czytelniku sam, furtką, którą ci otworzyłem, a nie pożałujesz może straconej na to, szarej godziny zimowej.

*

* *

Gdyśmy już, jak w zimowej powieści, zapukali do królestwa czarów, to przypomnę ci, czytelniku, temat znany dosyć, zadawany niekiedy dzieciom na wypracowania: „Co byś zrobił, gdybyś był bogatym?“

Na podobne pytanie, chłopu postawione, usłyszelibyśmy, podług p. Chorążego z *Niwy*, odpowiedź: na sionie (sianie) bym leżoł i jodłbym jajecnicę. Szlachetny feljetonista z *Niwy* nie kryje wykwintnej odrazy do takiego pokarmu a zapewne i takiej pościeli. Plugawe chłopstwo! Marzy o sianie i o jajecznicy wstrętnej.

W roku zeszłym zdarzyło mi się popełnić projekt, zachęcać do propagandy mleka i mięsa na pokarm przedewszystkiem pośród służby dworskiej, żeby następnie drogą naśladowania i nabytej potrzeby rozpowszechniło się użycie tej żywności wśród ludu. Zmiana ideałów gastronomicznych, wyniknąć stąd mogąca, podobała się widocznie p. Chorążemu, bo popiera mię, robiąc z projektu parodyę i „przedkładając“ projekt do prawa następującego:

„Art. 1. Każdy chłop, w Królestwie Polskiem osiadły, bez względu na to, skąd czerpie środki do życia, jest obowiązany używać na pokarm mięsa i mleka.

Art 2. Posty surowo zabraniają się“ itd.

To wszystko tembardziej rozśmieszać ma czytelników *Niwy*, że jest zaprzeczeniem prostej logiki, podług której należy najpierw o dobrobyt się starać, a później do niego przywykać. A cóż szanowny profesor logiki powie o tych, którzy wycierają nos w kułak, mimo że stać ich na chustkę, albo o tych, którzy wolą w ziemię zakopać pieniądze, niżeli ich użyć? Jak mu się podoba dowcipny zegarmistrz francuski, który, nie mogąc chłopów nakłonić do kupna, prosił ich o przechowanie przynajmniej zegara czas jakiś, aż do swego powrotu z podróży, a gdy rzeczywiście z handlowej wycieczki wracał, to już zastawał chłopów tak przywykłych do tego sprzętu, że woleli zapłacić, niż się wyzbywać zegara? Jaki stopień zyskałby z logiki p. Kleniewski, urządzający corocznie w majątku swoim licytacyę na inwentarz nizko oszacowany, aby tą drogą wpłynąć na poprawę inwentarza chłopskiego?

Co się zaś tyczy obostrzonego dozoru nad zachowywaniem lub niezachowywaniem postów, to figlarz Chorąży już tylko gwoli szlachetnej zabawce stroi mię w szaty inkwizytorskie, w których daleko bardziej do twarzy jemu i jego chorągwi.

Ten sam materyał posłużył do uciesznych pląsów p. Włodziwiczowi Zagórskiemu z *Gazety polskiej*. Opowiedziawszy o ściśnięciu serca wobec śmierci Królikowskiego, Lama, Kalinki, fejletonista „z rumieńcem na twarzy“ przyznaje się, że „w tym jeszcze może karnawale wystąpi przebrany za pajaca, chociaż Bogiem a prawdą, ...w tej maskaradzie życia pajac nie jest wcale śmieszniejszy z uczestników.“

Współczucie takiej o śmieszność trosce! Możeby lepiej powiodło się bez maski!

Otóż co do kwestyi mleka i mięsa, p. W. Z. łaskawie ją zaciągnąwszy do rubryki ważniejszych wypadków, wartych scenicznego poglądu na wzór podobnych zabaw urządzanych w Paryżu przy udziale najdowcipniejszych pisarzów i najzdolniejszych artystów — proponuje, jako dowcipny pisarz, aby aktor, ucharakteryzowany za puszkę konserwy, śpiewał o zbawieniu ludu ekstraktem Liebiga kuplety, dla których słowa i nuta popularna gotowe są w *Gazecie*.

Setne dzięki za poparcie tak pomysłowe.

*

* *

W *Niwie* spotykamy ciekawy artykuł, wymierzony przeciw korepetycyom. Że nieraz oddziaływają one źle na samodzielność uczniów, że ich uwalniają w części od konieczności pilnego uważania w klasie, na lekcyach, że wreszcie pożądanemi byłyby takie wykłady, któreby wszelkie ko-

repetycye dla uczniów odpowiednio uzdolnionych i przytomnych czyniły zbytecznemi, to wszystko są rzeczy wiadome. Lecz niestety w wielu razach niedogodności te są nieuniknione. Chłopiec musi w terminach oznaczonych przechodzić z klasy do klasy — pod groźbą wydalenia. Wady wzroku lub słuchu nieraz na przeszkodzie stają uwadze. Nie wszystkie wykłady zastępują korepetycye w zupełności. Nie wszyscy rodzice mogą sami rozciągać kontrolę skuteczną nad robotami domowemi ucznia, kontrola szkolna zaś nie może być nazbyt szczegółową, gdy nauczyciel, mając parę godzin lekcyi na tydzień, musi przesłuchać kilkudziesięciu uczniów. Niekiedy uczeń, wogóle pilny, niedomaga z jakichkolwiek przyczyn w jednym tylko przedmiocie, lecz dzielna pomoc jest w stanie wygładzić jakieś pozostałe z dawniejszych szczerby.

Są to wszystko względy praktyczne, które mogą przechylić w każdym pojedynczym przypadku decyzyę rodziców na tę lub ową stronę.

Lecz na jakich podstawach *Niwa* rzuca na młodzież, zarabiającą korepetycyami, oskarżenie o brzydką spekulacyę? Jakiemi moralnemi pobudkami kieruje się, usiłując tę młodzież ubogą a rwącą się do pracy, odesłać po zapomogę pieniężną do *miłosierdzia publicznego*? Czy *Niwa* jest szafarzem tego miłosierdzia? Czy potrafi usunąć różnicę moralną pomiędzy zarobkiem a zasiłkiem? Dlaczego pomija lekceważąco piękną zasadę pedagogiczną: ucząc — ucz się? Z jaką młodzieżą stykał się autor artykułu, tak boleśnie dotykającego korepetytorów? Na te pytania nie mam odpowiedzi.

K. Zbrucki.

POD MIKROSKOPEM.

I.

Aaaaah!

Ziewam — i przestać nie mogę. Przeglądam i odczytuję różne pisma...

Aaaaah!

Gwiazdki, obrazki pomysłów dawno znanych, wiersze przygodne uboższego natchnienia, niż ekonomski kapciuch, gdy go przez zemstę wydmie i przewiąże obity pastuszek, wróżenie z własnych wnętrzności o pomyślnych losach karnawału, choinki prospektowe...

Aaaaah!

Siostra moja miała służącę przystojną i cnotliwą, którą często polecała uwadze swych gości. I ja więc musiałem spoglądać nieraz na Marysię i chwalić ją. Wreszcie poszła za mąż. Razu pewnego spotykam jej twarz w świątecznej winiecie pewnej ilustracyi. Już mnie nudzić zaczęła. Na drugi rok znowu występuje w rysunku gwiazdkowym. Tego dobrego było za wiele. Upłynęło już lat pięć — a owa dziewczyna przy końcu każdego grudnia pojawia się w ilustracyi jednako poważna i ułożona.

Daremnie wołam: Marysiu, kiedy przestaniesz mnie ścigać? Ona powstaje z drzeworytu i mówi z łagodnym uśmiechem: do widzenia za rok.

Mistrzu, który ją ołówkiem wywołujesz, ulituj się nade mną, wybierz do swych nieśmiertelnych tworów jaką drugą służącę.

Aaaaah!

Bóg dobrym jest, bo stworzywszy p. Andriolego, zesłał natychmiast p. Gierymskiego. Równowaga utrzymała się. Ile razy pierwszy przerazi nas figurami cudacznie poskręcanemi, wkrótce drugi uspokoi prześlicznemi. Widzieliście „Pradziada“ Gierymskiego w *Tygodniku ilustrowanym*? Jest to najznakomitsza praca tygodnia świątecznego. Położyłem sobie tego staruszka na stole i spodziewałem się ciągle, że podniesie oczy i spojrzy poważnym, łagodnym a smutnym wzrokiem. Nie. A gdyby spojrzał, niezawodnie zsunąłby powieki. Mówi mi to jego boleśnie spokojna twarz, mówią długie, siwe włosy, spływające na żelazną zbroję. *What a piece of work is man!* Nadewszystko zaś, jak to dobrze, iż obok p. Andriolego ilustruje nasze pisma p. Gierymski.

II.

„Człowiek — według J. Paula — ma trzy chwile: w jednej śmieje się, w drugiej płacze, a w trzeciej zaczyna kochać, ale w połowie jej umiera.“ W ubiegłym tygodniu po nudach miałem pierwszą chwilę i kawałek drugiej: śmiałem się do łez. I to dzięki p. Lewentalowi. Spotkawszy w *Kłosach* jego *własny* artykuł p. t. „Pro domo sua,“ sądziłem, iż chcąc przyłożyć się do aforyzmów numeru gwiazdkowego, powie nam coś istotnie o „swoim domu“ przy ul. Nowy Świat. Gdzie tam! Szan. autor, dotąd nawet przez „ludzi złej woli i wiary“ niepodejrzywany o pokuszenie literackie, przypomniawszy, co wyrzekł w prospekcie przed 20 laty, podejmując trud wiązania „kłosów“ i wypiekania „chleba pożywnego i zdrowego“ dla zgłodzonej społeczności naszej, oświadcza po raz pierwszy, że nie Wojcicki, nie Lewestam, nie Pług, ale on, Lewental, był kierownikiem tej pracy. „Zatrzymując sobie tedy — pisze — i nadal *główny ster Kłosów*, który od ćwierci wieku blizko, bo od pierwszej chwili ich pojawienia się *dzierżę*, starać się będę“ — itd. Usłyszawszy to *quos ego*, wszyscy zmarli a rzeczywiści redaktorowie *Kłosów* zapewne poruszyliby się w trumnach i może nawet nadesłali protest do *Prawdy*. Tymczasem zaś tylko p. Pług, stojący za p. Lewentalem, wbił zawstydzony wzrok w ziemię i zaczął mówić o „pierwszym i ostatnim opłatku.“ Przy „ostatnim,“ dodał: „autor dzisiaj o tem czytelnikom swoim nie powie, nie chcąc mgłą smutku gwiazdki im Betlejemskiej zaćmiewać.“ Biedny Pług, taką ma strapioną minę, choć p. Lewental uczcił jego „współdziałanie.“

Winienem jednak uspokoić abonentów *Kłosów*: p. Lewental wprawdzie „dzierży ster“ i dzierżyć go będzie, ale — jak sam wyznaje — „kierunek literacki pisma“ i „sztandar“ jego „powierzył“ p. Pługowi, sobie zachowując tylko „kierunek główny.“ Na czem polega ten „ster“ i ten „kierunek główny“ po ustąpieniu komu innemu „literackiego“ — Boże, bądź mi miłościw — nie wiem. Czyżby istotnie sylwetki znakomitości w *Echu muzycznem* p. Lewentalowi spać nie dały i pragnął przez „pro domo sua“ znaleźć się w tej galeryi bodaj na szarym końcu?

„Ale ponieważ był ambitnym, zabiłem go.“ Nie, ani ja Brutus, ani p. Lewental Cezar — więc tak nie tłomaczę słów powyższych. Szło mi tylko o wskazanie żywego obrazu, w którym wydawca staje na barkach swych pracowników i woła: oto mój piedestał — a rzesza literacka nawet nie szemrze, lecz wieńczy skroń „współtowarzysza.“ Uprzedziłem was, że w pewnych wypadkach i stosunkach jestem arystokratą; nie dziwcież się, że od tego obrazu odchodzę z uśmiechem i ściśle baczę, komu ofiarować liść wawrzynu świeży, a komu suszony — bobkowy. Gdyby istniał cech literacki, nie wpisałbym się do niego, bo w nim nie wymaganoby żadnego *censu*.

III.

Na szkiełku mojego mikroskopu leży oddawna baronowa X. Y. Z., a raczej ukryty pod tym pseudonymem warszawski przemytnik zniesławień i przechwaleń literatów warszawskich, sprzedający swój towar w *Czasie* krakowskim. Nie rozpatruję wszakże tej „baronowej.“ dopóki ona nie wydobędzie ze swej torebki całego zapasu słodko trujących plotek. Warto zaś wiedzieć, co świątobliwym tonem opowiada się głośno w przedpokoju stańczykowskim.

n. G.

WYNALAZKI.

Przyrząd elektryczny do oświetlenia badań mikrograficznych. — Fotofor. — Nowy proces wytworzenia czystego wodoru.

Trouvé jest twórcą przyrządu, zastosowanego do oświetlenia elektrycznego prac mikrograficznych. Lacaze-Duthiers, znany z wielu cennych badań przyrodnik, przedstawił ten przyrząd paryskiej Akademii nauk w lecie b. r., która postanowiła wysłać tego rodzaju aparaty do stacyj zoologicznych w Roscoff i Banyuls.

Przyrząd Trouvégo tworzy obszerny cylinder kryształowy, w głębi którego pomieszczone jest zwierciadło ze szkła posrebrzanego. Cylinder osłania pokrywa reflektora posrebrzanego o powierzchni parabolicznej, w środku której płonie zwieszona lampa elektryczna. Przyrząd zapełnia woda morska, a w niej doskonale można obserwować *kędziornice* (Comatula), *terebelle*, zwane też *wrzecionkami*, *lucerny* czyli *świetliki* i inne potworki mikroskopowe.

W przestrzeń, zawartą między pokrywą a zwierciadłem w głębi pomieszczonem, przesyła się promienie elektryczne w kierunku równoległym od prostopadłych ścian przyrządu. W ten sposób dokonane oświetlenie dozwala badać ustrój organizmów mikroskopowych, przedstawiających się z nieporównaną czystością *w najdrobniejszych szczegółach* i śledzić wszelkie ruchy tych żyjątek.

Przy użyciu znacznie powiększającej lupy, rezultaty obserwacyi, są iście zdumiewające. W Roscoff, równie jak w laboratoryum paryskiem Araga, światło elektryczne, wytworzone w przyrządach Trouvégo, będzie nieoszacowaną pomocą przy badaniu jestestw drobiazgowych, przezroczystych, jakich dostarcza morze.

Do badań fermentacyi zastosowano przyrząd nieco zmieniony; dla zabezpieczenia preparatów od dostępu powietrza, pokrywa reflektora przyśrubowaną jest do osady metalowej, otaczającej wierzchnią krawędź naczynia kryształowego. Pokrowiec metalowy, w kształcie szafki, chroni aparat od wszelkiego wstrząśnienia zewnętrznego.

Drugim wynalazkiem, przedstawionym Akademii przez Lacaze-Duthiersa, jest *fotofor* elektryczny, pomysłu Hélota Trouvégo; za pomocą tego przyrządu można dokonywać sekcyj najdrobniejszych jestestw, przy nader żywem oświetleniu. Odda on niezaprzeczenie wielkie usługi w dniach pochmurnych, tak częstych w Roscoff latem, a w Banyuls zimą, w których brak światła zniewala przerwać rozpoczęte prace. Blask fotoforu nie zmienia w niczem barwy naturalnej zwierzątek, które przedstawiają się takiemi, jakiemi są w świetle dziennem.

Niepospolitą zaletę fotoforu stanowi mała jego objętość, a przedewszystkiem to, że manipulacya z nim łatwa. W rzeczy samej, można ustawić go tak, jak chcemy, oświetlić przedmiot poddany badaniom skośnie i w każdym innym kierunku. Możliwem jest np., opierając o nogę słój zapełniony wodą morską, z żyjącemi w niej istotkami, rzucić jasny snop światła elektrycznego na tę lub inną część w ciemności.

Przy większem natężeniu światła, posługując się lupą silnie powiększającą, dokonywać można z wielką łatwością sekcyi włókien nerwowych, wielce delikatnych, całkiem niewidzialnych w świetle dziennem.

Rodnik elektryczności w tym przyrządzie waży tylko trzy kilogramy, pomimo to w zupełności odpowiada zadaniu.

Nowy całkiem i najłatwiejszy sposób wytworzenia wodoru, przeznaczonego do oświetlania, wynaleźli obecnie Humbert i Henry w Paryżu.

Miasto Boulogne ma być wkrótce oświetlone tym gazem.

Proces jego fabrykacyi następny.

Na masę koksu puszcza się gorącą parę wodną, ta w zetknięciu się z nim rozkłada się na wodór i tlen, który łącząc się z węglem, tworzy tlenek węgla. Następnie oba gazy przechodzą do retorty rozgrzanej do czerwoności, w której tlenek węgla przetwarza się w kwas węglany, ten zaś zostaje zabsorbowanym przez mleko wapienne. Według wynalazców, można otrzymać 3,200 metrów sześciennych gazu z jednej beczki koksu; w podobnych zatem warunkach, cena metra sześciennego nie przeniesie trzech lub czterech centymów.

Należy nam nadmienić, że wodór czysty, mający służyć do oświetlenia, powinien być spalonym w koszu platynowym, który rozżarzony do białości, wywiązuje silne światło.

W. N.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Z zapisu zmarłego przed kilku laty Józefa Kuryerowa, obywatela Warszawy, ma być ogłoszony w marcu 1887 r. konkurs malarski, w 1893 — literacki, w 1900 muzyczny, w 1907 — rzeźbiarski, znowu w 1914 — malarski itd. z zachowaniem tej samej kolei.

O zmianach w zarządzie kolei Nadwiślańskiej, skutkiem głosowania na zebraniu ogólnem akcyonaryuszów w Petersburgu, mówiliśmy za *Krajem*. Obecnie w tem piśmie ukazał się list p. Stanisława Kronenberga, prezesa kolei, prostujący ową wiadomość w ten sposób, że kwestya zatwierdzenia etatu, projektowanego przez zarząd, lub poczynienia w nim znacznych oszczędności nie została stanowczo rozstrzygnięta na zebraniu ogólnem, będzie więc poddana powtórnemu głosowaniu, następnie kwestye potrzeb technicznej natury mają być badane w ministeryum komunikacyi; zmiany w składzie osobistym nie są koniecznem następstwem powyższego przebiegu sprawy.

W Płocku Towarzystwo kredytowe miejskie, zatwierdzone przez władzę, już się organizuje.

Z sądów. W znanej sprawie biłgorajskiej o nadużycia przy poborze do wojska, Senat po rozpatrzeniu skargi apelacyjnej uniewinnił Zofię Górską, Zofię Okońską, Cybulskiego i Doleckiego; na karę pieniężną skazał Fajersztajna (200 rs.) i Struzera (400 rs.); co do Górskiego, d-ra Trzcińskiego, Okońskiego i Hertzberga, zatwierdził wyrok pierwszej instancyi (Górski — pozbawienie rang i orderów i zesłanie, Trzciński—zesłanie; Okoński półtora roku rot aresztanckich, Hertzberg 2 i pół lat takichże rot). Koszta sądowe co do Doleckiego i Cybulskiego włożono na skarb, co do pozostałych — na skazanych.

Sąd okręgowy płocki rozpatrywał sprawę oszusta Sajewicza, który przybrawszy mundur urzędnika akcyznego, rewidował w Ciechanowie i okolicy szynki, dystrybucye itp. w towarzystwie wezwanego strażnika ziemskiego, przyczem wyłudzał datki, a nadto zebrał kilkadziesiąt rubli zapomocą sfałszowanych listów prywatnych. Sąd skazał go na rok i trzy miesiące rot aresztanckich.

W głośnej sprawie o zabójstwo Kicińskiego, właściciela dóbr Białopole, sąd okręgowy lubelski skazał włościan: Kuleszę na 12 lat, a Zwolińskiego i Mirona na 8 lat ciężkich robót i wszystkich trzech na pozbawienie praw stanu.

Paszporty wydawane dla osób popisowych, według postanowienia osobnej komisyi w Petersburgu, służyć mają tylko do dnia 13 listopada tego roku, w którym zostaną wydane. Wyjątek stanowić będą paszporty z poświadczeniem o odbytem losowaniu lub uzyskanem przedłużeniu.

Ofiara. Towarzystwo francusko - włoskie kopalń dąbrowskich z inicyatywy swego przedstawiciela, p. Niedźwiedzkiego, ofiarowało 700 korcy węgla Towarzystwu dobroczynności w Warszawie dla rozdania biednym.

Zapis. Zmarły niedawno Edmund Bürger, obywatel Warszawy, zapisał 4,000 rs. dla tutejszej gminy ewangelicko-augsburskiej, 1,000 złr. na zakład dla sierot, tyleż na starców pomienionej gminy, dalej 1,000 rs. dla sierot i ochron warszawskich i tyleż dla zakładu paralityków w Nowej Wsi.

Z piśmiennictwa. Od 7 stycznia wychodzić ma pod redakcyą Wiktora Czajewskiego *Tygodnik powszechny*, poświęcony literaturze, sztuce i rzeczom społecznym, ze szczególnem uwzględnieniem historyi sztuki.

Biblioteka warszawska zniżyła cenę prenumeracyjną na 9 rs., a z przesyłką pocztową 10 rs. rocznie.

Gazeta warszawska wychodzić będzie i w niedzielę.

Przegląd pedagogiczny wydawać będzie podręczniki i przewodniki naukowe. W r. 1887 mają się ukazać: 1) „Nauka o rzeczach“ H. Wernica i w związku z nią „Metodyka nauki poglądowej“ J. Wł. Dawida; 2) „Geografia powszechna“ W. Nałkowskiego; 3) „Arytmetyka na kl. I, II i III“ prof. M. Białowiejskiego; 4) „Wykład nauki rysunków“ F. Flincera.

Współwłaścicielem *Dziennika polskiego*, wychodzącego we Lwowie, został Mieczysław Schmidt, syn znanego dziejopisa, Henryka Schmidta.

Praktycznych wzorów rysunkowych Ks. Pilattiego wyszedł zeszyt 2 gi. Różni się on od pierwszego nietylko zawilszemi kombinacyami linij prostych i krzywych, ale także mniej zupełnem oznaczeniem śladów, podług których uczeń ma pierwszą kopię wykonać. Na uznanie zasługuje swojska dążność autora. Widzimy np. rysunek wystawiający nasze zrujnowane wrota, dach dzwonnicy, szafę, biurko najpospolitszego kroju, bramę żywcem wziętą ze starego miasta Warszawy, liście dębowe, obok przedmiotów i ornamentacyj z charakterem więcej kosmopolitycznym. Rysunki wyłącznie jeszcze konturowe, są powolnem przejściem od łatwych kresek w pierwszym zeszycie zawartych, do całości bardziej skomplikowanych.

Znoszenie służebności uczyniło krok naprzód w powiecie łódzkim. Trzy majątki: Żeromin, Zgniłe Błoto i Sanie, ułożyły się o usunięcie służebności z 66 włościanami.

Bank ziemski w Poznaniu wpisany został do rejestrów firmowych. W połowie stycznia odbędzie się walne zebranie założycieli. Czynności rozpoczną się dopiero po rozprzedaży akcyj.

Szkoła dublańska mało u nas jest znana, każda praca, która na nią światło rzuca, interesować by powinna ogół ukształconych. Dr Pawlikowski ukończywszy ją, a przedtem studyując rolnictwo w Halli, w niewielkiej broszurze wykazuje bardzo wysokie zalety urządzeń i składu nauczycielskiego w Dublanach, a nawet z wielu względów stawia tę instytucyę wyżej od podobnych niemieckich. Rozprawka wywołana została projektem przeniesienia szkoły do Krakowa i połączenia jej z uniwersytetem. Dr P. wręcz jest przeciwny takim połączeniom, powołuje się na złe stąd następstwa w Niemczech i na korzyści, jakie przynosi dzisiejszy tryb nauki nie dowolnej, ale przymusowej w Dublanach. Przy sposobności wytyka pewne niedomagania zakładu, pochodzące już to z braku dostatecznych pomieszczeń dla profesorów, dla słuchaczów, dla lekcyj i dla materyału naukowego, już z przeciążenia pracą sił nauczycielskich. Więcej budynków i więcej ludzi!

Wiemy, jak ciężko powiększyć budżet wydatków na pomnożenie personelu nauczycielskiego; ilu to potrzebuje formalności. Inaczej atoli rzecz się ma z mieszkaniami dla studentów. Faktem jest, że kilka tysięcy rubli, wrzuconych w budowę domku na cząstce od włościanina dublańskiego nabytej, przyniosłoby 20% dochodu. A jednak przedsiębiorstwo tak proste nie kusi nikogo i większość ogromna studentów gnieździ się w niedogodnych, zimnych i niewonnych chłopskich chałupach.

Szkoła dublańska liczyła w r. 1884/5 ogółem 73 uczniów, w 1886 — 66; z nich wielu z za granicy. Na czele jej stoi wysoko ceniony dyrektor Lubomęski, wykładający rolnictwo i organizacyę. Z grona nauczycielskiego bardziej znani ogółowi rolników są: prof. Pańkowski, dr Godlewski, dr Wawnikiewicz, prof. Rylski, prof. Karpuszko.

W Poznańskiem nabył rząd pruski na licytacyi majątek Zodyń, w pow. babimojskim, za 367,000 marek, Głubczyn drogą sprzedaży przeszedł w niemieckie ręce.

Zmarli. Kazimierz Kantak, poseł na sejm pruski i do rzeszy niemieckiej, znany z parlamentarnych wystąpień. Miał lat 65.

— Jan Nepomucen Leszczyński, mag. pr. i adm. uniw. warszawskiego z przed 1830 r., długoletni przewodnik szkoły realnej męzkiej w Warszawie. Lat 80.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Xy. Osnowa powszednia, a obrobienie bardzo ułomne. Niepodobna pisać: „Północ już była, gdy odchodząc spać, żegnała mnie blada słowami,“ bo nie północ szła spać.

A. E. Czy powiastka G. d. Maupassanta „Irette“ nie była już tłomaczoną w jakiemś piśmie, nie wiemy.

P. B. M. w Kijowie. Jak pismo to godzi nowe swoje zadanie z całym programem — nie wiemy. Że zadanie to nie jest naszem, zaledwie potrzebujemy zapewniać. Bo jeżeli nawet ten czynnik ze względów praktycznych zasługuje na opiekę, to ma ją chyba zapewnioną nadmiernie w całym ustroju społeczeństwa. Po cóż swoje krople mają dolewać pisma postępowe do kielicha pełnego i często trującego?

P. K. M. Wyrazy: *lufcik* i *kajzerka* utarły się w naszym języku; *okienko* i *bułka* są oznaczeniami pojęć ogólniejszych. *Przeciąg* jest prawidłowym.

P. Dla *Niwy* wiele rzeczy jest „plagą,“ więc i korepetytorstwo. Nie zamieszczamy Pańskiej repliki, bo jest za długa, a miejsce w *Prawdzie* szczupłe; natomiast dotykamy tej sprawy w dzisiejszym numerze.

Ogłoszenia.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 19 Декабря 1886 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.